

CENA 50 GR.

ROK II. NR. 29 (42)

WARSZAWA

SOBOTA

21-VII-1934 R.

czas. 12442/2/29

# PION

**TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY**

EWA SZELBURG-ZAREMBINA

## PRZY OGNISKU

**T R E Ś Ć:**

EWA SZELBURG-ZAREMBINA  
PRZY OGNISKU  
ZOFJA GOŹDZIEJEWSKA  
MOJA KUCHNIA  
STEFAN BALICKI  
NAUCZYCIELKA  
ALEKSANDER ŻYW  
ZWIERCIADŁO  
L A L E K  
DEKLARACJA IDEOWA  
BLOKU ZAWODOWEGO  
ARTYSTÓW PLASTYKÓW  
SZTUKA JEST  
FUNKCJĄ ŻYCIA  
TADEUSZ CIEŚLEWSKI  
O SZTUKĘ  
W KTÓREJ SIĘ  
DUCH TŁUMACZY  
JÓZEF CZECHOWICZ  
PRZEKŁADY  
ALEKSANDRA BŁOKA  
DZIEWCZĘ ŚPIEWAŁO  
JANA CAPKA  
PIOSENKA  
JAROSŁAWA SEIFERTA  
KSIĘŻYC NAD  
GAZOWNIĄ  
WŁ. ARCIMOWICZ  
PIERWSZA  
NAGRODA LITERACKA  
IM. FILOMATÓW  
NOTATKI KRONIKA

Miało się ku wieczorowi. Ciemne, niskie chmury stały nad jasnym pasmem szosy, biegnącej przez glinianki i kuse parcele, z Warszawy do Raszyna.

Z chmur prószył nikły deszcz. W Raszynie ustał.

Niebo przedzieliło się na dwie połowy: daleką, sino-granatową, i bliską: perłowo-szarą. Pojaśniał, rozszerzył się świat.

Na piaszczystej dróżce wysadzonej młodziutkimi drzewkami było już pogodnie.

W tej jasnej, chłodnej pogodzie czerniał napis — Ośrodek pracy nr. 11 i błyszczało oknami sześć białych domków o ciepłoczerwonych dachach.

Pusta zielona przestrzeń dokoła tych domów zakwitła gęsto dziewczęcymi sukienkami: ścieżkami z pomiędzy niskich zagonków, przez skąpy trawnik, z przepińczym trzępotaem biegnie stadko dziewcząt w kwicistych sukienkach.

Po krótkiej chwili przed podnoszącym się na maszt sztandarem, stają już cztery karne, milczące zastępy.

Różowe kwiatki malowane na furkoczących sukienkach śmieją się wesoło, ale okrągłe, opalone twarze dziewcząt są poważne: ze stu młodych piersi wybucha pieśń dumna, radosna:

— Mysłmy przyszłością narodu... —

Wiatr rozrzucający spod granatowych беретów jasne i ciemne pasma dziewczęcych włosów, wiatr łopoczący w górze białoczerwonym sztandarem, chwytą i niesie je z roz-

machem daleko poza placyk przed sztandarem, poza ogród, poza płot otaczający śpiwające dziewczęta — rzuca te słowa na dookólne ugory, donosi je między przykucnięte koło szosy koślawe domy, wrzuca je do zaciętych mieszkań pełnych szarych, milczących ludzi.

I oto ludzie, wychodzą przed sień — słuchają pieśni młodych...

W niskich jadalniach, przy jasnych sosnowych stołach gwaro i tłoczno jak w olbrzymim ulu.

Opalone przy ogrodowej robocie ręce skwapliwie dzwonią łyżkami.

Trzęsą się w zapale opowiadań jasne i ciemne czupryny.

Błyskają siwe i piwne oczy w szybkich uśmiechach.

I znowu dzwoni piosenka. Ta „swojej roboty”, opowiadająca o „dolach i niedolach” obozowego życia, dzieciennie wesoła, przekorna i swawolna.

W niewielkich, jasnych szwalniach ciemniej poważnie lśniące rzędy maszyn.

Z rytmicznym turkotem poruszają się błyszczące koła.

W coraz wprawniejszych opalonych palcach niekształtne platy surówki i płótna zmieniają się w koszule, w prześcieradła, w bluzy. Na krótki czas wypełniają obficie czyste, pakowne półki magazynu, aby w szybkim tempie wywedrować do obozu chłopców, ro-

biąc miejsce pod nową pracę dziesiątków zwawych dziewczęcych rąk.

Rade pożytkowi powstającemu z trudu, rade słońcu i przestrzeni, rade dniom pracowitym, które nie przechodzą bez celu — uśmiechają się młode twarze.

Nie wszystkie.

Są tu także i usta zacięte, takie co smakowały już goryczy życia. Są oczy chmurne, nieufne.

I mimowoli przychodzi na myśl owo złe zwierciadło z Andersenowskiej baśni, zбите zwierciadło, którego okruch w sercu lub w oku człowieka utkwiony, lodowatym chłodem powleka na długo i twarz i duszę.

Czy mało takich okruchów krąży w zaciętych powietrzu wielkomijskim? Czy mało ich płynie otwartymi rynsztokami i wiska się do mieszkań ludzkich?

Są niewidoczne, jakże się przed nimi chronić?

Prócz gwarnej jadalni, oprócz pracowni pełnych turkotu i czystych, surowych sypialni, które przez dzień czekają z otwarcieniem się do zapadnięcia nocy — są jeszcze i przytulne świetlice.

Wysoko u jednego z sufitów kołysze się lekko pozłocisty pajak z żytnej słomy i zbiera w siebie ostatnie bladzielone promienie popołudniowego słońca, wpadające tu przez otwarte okna. Kolem po białych ścianach biegną siostry słomianego pajaka, barwne wycinanki.



Na przykrytych lnianą tkaniną stołach, stoją świeże kwiaty.

Na stołach także leżą pisma. Na półkach stoją książki.

Z cicho szeleszczących kart proste i wesole słowa, to znowu słowa gorzkie i morne przechodzą wprost do serc.

I już zostają tam. Już tam rosną.

Aż w któryś wieczór wybuchną u ogniska — tak, jak w tej chwili właśnie.

Zmierzcha się szybkim, czerwcowym zmierzchem.

Drużyna raszyńskich junacek zebrała się pod ciemnym od chmur niebem. Zapalono tradycyjne ognisko. Trzeszczy choina. Sypią się iskry. Szybki, tańczący płomień całuje twarze skupionych kolem dziewcząt.

Zaczyna się przedstawienie:

W otoku ognia obraz wyrasta dziwny, niby obcy, a bliski:

„Obóz w okolicy Werony. Grudzień 1796 roku po bitwie pod Ercole, przed bitwą pod Rivoli. Noc.

Pośrodku sceny płonie duże ognisko... Przy samym ognisku grzeje się siedmiu żołnierzy z Foręsterowskiego bataljonu, który stanowi zawiązek legji polskiej...”

I twarde żołnierskie słowa, słowa przez zwiastuna-pisarza z głębi serca wydarte, a teraz z warg junacek zrywające się od ognia w noc!

„Kto chce zdobyć swoje swobodne życie, ten je zdobędzie”

„Może na wasz radosny głos — roztworzy się radosne serce braterskie.

„Może Polska stanie się Jeruzalem swia-



ta, gdzie nie przez gwałt, lecz przez miłość pełni się sprawiedliwość”.

Z ciemności nocnych na blask radosnego ogniska ciągną skwapliwie okoliczni mieszkańcy ze swoich ciemnych, dusznych domostw. Z tupotem bosych nóg biegną skwapliwie dzieci.

Za pierwszym krągiem tworzy się wokół słów i płomieni krąg drugi.

A z pośród ciepłych złotych iskier błyskają ogniście twarde słowa i mocno, celnie biją w pierś tłumu:

— żeby polska kraina po sprawiedliwości zakwitła!

— żeby po sprawiedliwości, jako brat z bratem!

— Daj mocny Boże! — cichną słowa.

W oczach zapatrzonych w ogień, za zasłoną żywicznego dymu gaśnie wycarowana przez junacką drużynę wizja fragmentu z „Sulkowskiego”.

Echo słów Zeromskiego zostaje. I zostaje gorące tchnienie idące od płomieni rozchwypanych jak złota chorągiew wbita w samo serce nocy.

Chorągiew zwycięska!

Szukam oczami w gromadzie dziewczęcych twarzy zwróconych do ogniska, tych ust zaciśniętych nieprzystępnie, tych oczu chmurnych, nieufnych.

Już ich nie widzę. Lodowe okruchy złego zwierciadła stajały widać w ciepłe płomieni. Złota zamieć tańczących iskier przegląda się wesolo we wszystkich żreńcach.

Na miejscu strzelistego ogniska ciepły żar pozostał. Niziułki, przy samej ziemi.

Czas się rozejść!

Już ciemność nocy przede mną — za mną wciąż jeszcze poblask różowy jak wstająca jutrenka:

To — naprzeciwno sztucznym, gorączkowym, złym błyskom latarni przedmieścia przyświecającym nędzy, zniechęceniu, głodowi i zbrodni, biegnie młody i żywy junacki „Płomień skrzydlaty”.

Myszę z trwogą: potężna jest ciemność i nieporuszona martwość naszego starego świata! Gdzie jest ten nowy ład, któryby wyszedł naprzeciw młodości rwącej się do innego, do lepszego życia?

Tańczy płomień na wietrze...



ZOFJA GOŹDZIEJEWSKA

# MOJA KUCHNIA

Moja kuchnia nie ma okna. Cztery szarobronzowe ściany, wzdłuż jednej: półka, skrzynia na węgiel, mała wanna; przy drugiej: moje łóżko, taburet i gazowa kuchenka. Dwie węższe ściany zajmują drzwi: do dwóch pokoi i na schody. To wszystko. Nie, nie wszystko zapomniałam o najważniejszym — o małej, elektrycznej lampce u sufitu, która za dnia zastępuje tu słońce. Ale podczas, gdy wieczorem jej światło jest wesole, jasne — to w dzień robi się jakieś nędzne, żółte. Ma się wrażenie, że jest złe, że nie może dorównać tamtej jasności, co do pokoju przez okno się wdziera, zagląda w każdy kąt, nie pozostawia najmniejszego cienia.

Najmilsze są ranne godziny. Pani i dziecko śpią, a ja sprzątam mały, środkowy pokój, najjaśniejszy, pełen prawdziwego światła. Tego pokoju nie potrzeba oświetlać nawet w najbardziej pochmurne dni. Chciałabym, żeby to sprzątanie ciągnęło się choć ze trzy godziny, ale niestety, pokój jest mały. I zaraz budzi się dziecko. Dziecko jest blade, kapryśne, choć bardzo miłutkie — i lubi słuchać bajek. Od dziewiątej rano, do dziewiątej wieczorem, trzeba opowiadać bajki, aż nieraz w głowie się zakręci.

Wieczorem, gdy dziecko zaśnie, wracam

do swojej kuchni; wtedy przechodząc przez mały pokój, na kilka sekund zatrzymam się przy oknie. Wąski pas nieba niby ciemnoniebieski filar, z boku niska oficyna, za nią druga, wyższa, jeszcze wyższa, znów kawałek nieba i już wszystko. Czasem uda się zobaczyć jasną kulę księżyca, ale na krótko. Gdy drugi raz przechodzę przez pokój, księżyc już minie wąski pas nieba i schowa się za następną kamienicę.

A u nas tam teraz na wsi można wyjść na drogę i patrzeć dosyta na ośnieżone, światłem przepojone pola. I taka tam cisza, jak w kościele. Gdzieś daleko, daleko te dwa obszary, biały i błękitny, łączą się z sobą czarnym pasem drzew, gdzieś błyszczą maleńkie światełko, jedno, drugie, jeszcze jedno. Naprawdę nic więcej nie widać, tylko te dwie przestrzenie, przepojone srebrnym blaskiem. Ale gdy tak stać i patrzeć w dalekie światełka, to stanie się cud. Wzrok minie ciemność i wyobraźnia widzi cały cudny, ogromny świat i chciałoby się tak iść bez końca w nieskończoność. Widzi się wszystko, co jest na świecie: i wspaniałe góry i morza rozległe i puszcze tajemnicze, pełne ukrytego życia. I wnętrza chłopskich chat i ich życie, takie ciche, spokojne, czasem szczęśliwe, choć nędzne. I tak się wtedy

bardzo przeogromnie pragnie, żeby w duszach ludzkich było jasno i uroczyście, jak w tę noc. Oddałoby się zato wszystko, młodość, siły, życie — żeby tak było.

Tutaj, w tych murach czy zrodzić się może jakie pragnienie? Nie, żadne, lecz tamte przyniesione tu wyhodowane gdzieś — olbrzymieją; ale tylko wtedy, jeśli się wie, że ta kuchnia niezawsze będzie całym moim światem, że to tylko etap. Bo gdyby przyszło spędzić tu lata, toby człowiek wsiąkł w te mury, myśli stałyby się jednakowe, szare i ciasne jak te ściany.

Niedziela w mojej kuchni jest przeważnie co dwa tygodnie. Wtedy od drugiej lub trzeciej po obiedzie niepotrzeba już opowiadać bajek, można wyjść, zmieszać się z tłumem i chodzić, chodzić, aż do zmęczenia, nie spiesząc się donikąd. A wieczorem wracam przez Saski Ogród. Wybieram takie alejki, gdzie najmniej słychać gwar ulicy. Zdaje mi się wtedy, że jestem na wsi. Na trawnikach i klombach leży bielutki, niezdeptany śnieg. Jak u nas. I takie same milczące, tajemnicze, bezlistne drzewa.

A potem znów kuchnia, czworokątna klatka z zamkniętymi na klucz drzwiami.

Trzeba się przedko kłaść spać, żeby nie-

opadły niepotrzebne myśli, lub wspomnienia, bo wtedy — źle. Jeśli wspomnienia są dobre, miłe, to jeszcze, ale gdy są przykre, lub złe, wtedy tylko męka. Odpędzane odbiegają do ścian, do zamkniętych drzwi i znów wracają i męczą. Nie mają gdzie rozpląnąć się ani o co rozbić.

Ale wszystko się zmienia — kiedy mam książkę.

Wtedy ta mała kuchnia rozszerza się w nieskończoność, robi się taka wielka, że zmieszczą się w nią całe miasta, żyje w niej tysiące ludzi. I dobrze wtedy, że drzwi zamknięte na klucz, że nikt nie może wejść, nie rozproszyć złudzenia.

Za 3 tygodnie zacznę chodzić na kursy wieczorowe. Czy to możliwe?! Więc jednak spełnią się pragnienia kilku lat. Skrzynia od węgla będzie najpiękniejszym stołem, bo na niej będę pisać, odrabiać lekcję, czuję się tak ogromnie silna, zdaje mi się, że teraz mogłabym dokonać czegoś wielkiego. Będę się uczyć, uczyć, zdobędę dużo wiedzy, a potem wrócę na wieś do swoich. To mój cel i najświętsze pragnienie. I gdy o tem myślę — ta mała, ciemna kuchenka zdaje mi się jakimś prawie świętem miejscem: w niej się będę uczyć.

STEFAN  
BALICKI

## NAUCZYCIELKA

Dzień wstawał zimny i wietrzny. Z drugiego nieopalanego pokoju słychać było trzask okiennicy bijącej o futrynę okna i dzwonienie haczyka. Brzmiało to jak dalekie nawoływanie i nawet ten martwy głos sprawiał Hastrymównę pewną przyjemność. Był to dzień wolny od nauki, a popołudniu miał przyjechać jej narzeczony Władysław Słomiński.

Leżała w łóżku, myśląc o tem, że w pokoju robi się coraz chłodniej i że upłynęło już pół godziny od czasu gdy okutana chustą Bartkowiakowa dała znak stukaniem w szybę, że mleko postawiła na ganku. Przez okno widać owiewaną śniegiem drogę. Wstęgi kurzawy biegną wzdłuż garbatych wierzb, topornych, twardych na mróz i wichry. Jakiś czarny pies z podwinętym ogonem przeleciał przez drogę, a u kowalowej komin domu mocniej dziś bucha niż zwykle. Wewnątrz buzuje ostro ognisko rodzinne i chata dysze szczęściem. Kowalowa urodziła dziecko. Pulchnego zdrowego chłopaka. Wczoraj, wczesnym rankiem wyceliał kowal Rzemysło z kuźni, we fartuchu i z golemi zylastymi rękoma. Bił się pięścią po piersi, skakał po śniegu i krzyczał:

— Mam syna! Ja mam syna! Zona mi urodziła synka!

Właśnie była nauka, a jedyna, siedmioletnia córka kowala, urzawszy ojca przez okno klasy, pisnęła. — Tato zwarzowali! — i wybuchnęła tak szczerym płaczem, że jej sąsiadki też chlupać poczęły.

— Nie płacz — rzekła jej wówczas Hastrymówna — to przecież szczęście.

Dym bucha z kominu gęsty i czarny. Ach, widać że ciepło jest w chacie. Ludzi tam pełno, gwar...

— Pach... pach... — przypomniała się okiem i Hastrymówna podciągnęła kołdrę pod szyję. Taki sam zimowy poranek musiał już być kiedyś. Już raz go przeżyła. Jakiś niebieskawy kolor na szybie przypominał brzeg jej dzieciennego łóżeczka, nakrytego niebieską kołdrą. Było to dawno, gdy rodzice żyli jeszcze a ze snu rannego budził ją piesek Florka, ostrożnym stąpieniem po kołdrze. Musiała bardzo się zmienić od tego czasu. Wszyscy jej przepowiadali kiedyś że będzie niezwykle piękna. Miała śliczną, bładą nieco cerę, jasne naiwne oczy, była drobna i wężka.

— Chaberku malutki — mawiał do niej ojciec.

I patrzcież co się stało z tą urodą. Wszystkie przepowiednie odwracają się. Ma dziś lat dwadzieścia pięć i wcale nie wyrosła i nie rozwinęła się w jakąś piękność. Naiwne oczy nie dojrzały i nie wypełniły się żadną treścią. Wyzierały teraz śmiesznie z niewielkiej, bladej twarzy, jak małe okienka, zasnutę już zlekką pajęczyną. Była wężka i drobna podobna jeszcze do małej dziewczynki, której posłuchano wszystkie zabawki i zostawiono samą w domu. Już trzeci rok jest na posadzce nauczycielki, jako kierowniczką jednoklasowej szkoły, ale zdziwiłaby się, gdyby jej powiedziano, że życie jej jest już tem życiem, które prowadzą ludzie dorośli.

Rozległo się szybkie stukanie do drzwi i Hastrymówna spojrzała na zegarek. — Wielki Boże! Jedenasta! — wyskoczyła z łóżka i narzuciwszy szlafrok, otworzyła drzwi w sieniach. Weszła Elżbietka. Była to chuda dziewczynka o niespokojnych oczach i zabawnie grubych, czerwonych wargach.

— Dzień dobry pani nauczycielce. Ja przyszedłam posprzątać — zatrakotała piskliwie i zakrzępla w głupim uśmiechu, przykrzywiając głowę naksztalt wrony zamierzającej coś ukraść.

— Dobrze, moje dziecko. Przynieś mi tymczasem wody.

— A pani nauczycielka nie wie co się stało w nocy. A to stróż Mikołaj uchlał się znowu i obalił się pod stodołą Żelaznego. A rano ten kulawy parobek Żelaznego w baraniej czapie zeskoczył na niego jak brał słomę... buch! I dopiero jak nasz Michał jak zacznie wyzywać! Pół wsi się zleciało. „Grablami” w niego rzucił... — umilkła i nagle jej oczywień zniknęło.

— Co za ludzie — westchnęła z głębi wąskiej jak pudło skrzypcowe piersi — a pyrkę nastrugać pani nauczycielce?

— Potem. Uważaj, bo stłuczesz szklankę. A uszu to znowu nie wymyśl!

— Chi-chi-chi — zapiszczała Elżbietka — pani nauczycielka to ma oczy jak ten jastrząb. Widzi wszystko... że jej!

Hastrymówna stała właśnie przed lustrem i oglądając uważnie swe włosy, opuściła rękę trzymającą grzebień. Ani ta twarz, ani głupie, niebieskie oczy, ani cienkie, płasko przylepione do małej główki włosy nie mogły się nikomu podobać. Czy to nie dziwne, że Słomiński ją chce wybrać za żonę?

Elżbietka laziła takim krokiem po pokoju iż zachodziła obawa, że przy którymś gwałtowniejszym ruchu załamuje się z trzaskiem jak badył. Wzdychała ze zmęczenia, klapała obrzydliwie swemi drewniakami i paplala nieustannie. Szczególnie, że to na co dawniej nie zwracała uwagi poczęło ją drażnić. Dwa lata temu było to samo tylko Elżbietka nie była tak patykowata i nie miała tak olbrzymich łap. Wielki czas, żeby się to ponure życie odmieniło.

— Kiedyż ty skończysz nareszcie? — zawołała ze zniecierpliwieniem.

W oczach Elżbietki ukazały się łzy. Ale to Hastrymównę nie wzruszało. Liryzm połączył się u Elżbietki z fantastycznym obżarstwem. Grube, czerwone wargi tej czulej istoty, łapy i żołądek, służyły djabłu, tylko oczy miały coś fałszywie anielskiego.

Gdy Elżbietka wyszła, Hastrymówna pożałowała, że tak prędko ją wyrzuciła. Znowu cisza w pustej szkole, przy posępnych świąstwach w kominie i wyciu wiatru. Tak samo dziś jest w grobie ich rodziny na cmentarzu w Gołaszewie. Postawiła na stole flakon z nieśmiertelnikami. Na ścianie powiesiła nową, nieladną makatkę. Mały stolik w kącie okryła serwetką, którą sama dwa miesiące haftowała i postawiła na niej fotografię narzeczonych.

— Czy ty tylko będziesz dla mnie dobry? — westchnęła.

Słomiński uśmiechał się tępy, dumny uśmiechem i patrzył zwycięsko małym oczyma. A może patrzy nie na nią, tylko na koniec swego nosa? Jest to człowiek tylko przeciętny, ale był jej narzeczonym więc kochała go.

Na obiad przyszedł jak zwykle pięcioletni Adaś, syn komornicy Paluchowej. Był to chłopaczyna mały jak palec, niezmiernie miły. Mimo że odwiedzał ją już drugi miesiąc nie oswoił się jeszcze, jadł nieśmiało i siadał na krześle w ten sposób, żeby w razie czego być odrazu gotowym do ucieczki. Matka jego upijała się i często go biła. Po obiedzie Adaś zlaził z krzesła, z przedziwnym sapaniem obchodził pokój, dotykał palcami różnych przedmiotów i pytał: — Do czego to? — Był podobny w swej czarnej zadużej kurtce do małego psa, który obwąchuje uważnie nowe miejsce. Na zakończenie dostawał czasami cukierka, lub kawalek piernika i ten prezent był hasłem odejścia. Stawał przy drzwiach. Sięgał z trudem do klamki, sapał i równocześnie szepiał na pożegnanie. — Niech będzie pochwalony.

Był to jej najmilszy gość. Nienatępny i pokorny, a pełen tajemnic, które chował za zdrowie w czarnych dużych oczach.

Tego dnia wyszedł później niż zwykle i zachowywał się tak, jakby chciał coś nadprogramowego powiedzieć. O drugiej wiatr ustał. Hastrymówna wzięła się do usunięcia śniegu ze ścieżki w czem jej pomógł przechodzący drogą chłop. Potem wyjęła z pieca małe tanie pierniczki, które zesypała do szklanej miski napół zbitej przez Elżbietkę. Poza stawało tylko zaparzyć herbatę i zrobić trochę papierosów dla narzeczonych. Zapadał wczesny zimowy mrok. Z kątów wiał radośnym niepokojem oczekiwania. Słomiński odwiedzał ją raz na dwa tygodnie, czasami jeszcze rzadziej, chociaż mieszkał tylko w odległości dwóch stacyj od niej. Raz tylko ośmielił się przyjechać do niego i dziś jeszcze drży gdy to sobie przypomni. Słomiński był bardzo wówczas zmieszany, jego matka, mała upudrowana kobieta, patrzyła na nią ze straszliwym zdumieniem. Mówili o pogodzie i drożynach, wreszcie pani Słomińska opuściła pokój, a po chwili wywołała syna.

— Pojadę już — rzekła Hastrymówna.

— Chcesz już jechać? — uśmiechnął się niemądrze i dodał szepem — zapomniałem ci powiedzieć, że moja matka o niczem nie wie.

Rok minął od tej chwili a Słomiński nie

porzucił jej. Teraz za kilka miesięcy mieli wziąć ślub, a tamtego tygodnia przyszedł list od pani Słomińskiej, w tonie prawie serdecznym. Długie oczekiwanie miało się ku końcowi. Tak więc zaczynało się zwolna jej prawdziwe życie, życie dorosłej kobiety.

Wskazówki zegara poczęły posuwać się coraz wolniej, w chatach, po drugiej stronie drogi, błysnęły już światełka. Usiadła swym zwyczajem, podwijając nogi pod siebie, przy oknie i czekała. W pewnej chwili rozległo się przytupywanie na ganku. Zerwała się śpiesznie i stanęła na środku pokoju z zapalnikami, gotowa do zapalenia lampy.

— Moje uszanowanie — zawołał Słomiński strzepując śnieg z kapelusza — pewnie już myślałaś, że nie przyjadę. Ależ tu u ciebie ciepło. — Ucałował ją, zrzucił palto na kanapę, kapelusz na krzesło i zapalając papierosa, zaczął z szerokimi gestami opowiadać, że w pociągu był okropny ścisk.

Hastrymówna zapaliła lampę i spojrzawszy na Słomińskiego, odczuła coś nienaturalnego w jego zachowaniu się.

— Nie masz pojęcia co za tłok — krzyczał, chwytając się za głowę — jednej nogi nie mogłem poprostu wydobyć ze ścisku; nie wierzysz? — zawołał wytrzeszczając oczy — słowo honoru daję! — uderzył się ręką o pierś. — W każdym razie nie pamiętam czegoś podobnego.

Usiadł przy stole, spojrzął na nią niepewnie i zaraz spuścił oczy. Wziął do rąk pudełko zapalek, i począł beznamiętnie wysuwać je i zasuwac. Potem strzepywał długo popiół z papierosa, wreszcie wstał i zawołał.

— Tak, tak. No, a cóż u ciebie nowego?

— Nic — odrzekła cicho — czekałam na ciebie...

— Moje biedactwo — poglaskał ją po głowie i nachyliwszy się, pocałował ją w czoło. — A to nowa makatka? Skąd ją masz? Śliczna, jaka śliczna! — zachwycił się otwierając szeroko ramiona.

— Co się stało? — myślała z przestachem Hastrymówna i spytała zdławionym głosem.

— Napijemy się herbaty, prawda?

— Herbaty? Nie nie — zawołał porywczo. — Poco herbata? A zresztą, dobrze, — rzekł nagle swoim zwykłym, spokojniejszym głosem. Rzucił się na kanapę i zamilkł zupełnie, paląc chwile drugiego papierosa. Odeszła do kuchni. Zapaliła maszynkę spirytusową i patrzyła na Słomińskiego. Widziała tylko ciemny kształt i czerwony ogień papierosa.

— Zosiu — usłyszała nagle ciche wołanie.

Pobiegła natychmiast.

— Co się stało?

Słomiński odrzucił niedopałek i zwolna podniósł się siadając na kanapie.

— Zredukowali mnie — rzekł bezdźwięcznie.

Hastrymówna oparła się o ścianę.

— Co?

Chwyliła ją, jak nagły skurcz, ochota gwałtownego śmiechu.

— Wymówili mi posadę. Jestem bezrobotny, to wszystko. Co ci jest? — spytał z trwożą Hastrymówna stała blada, z przygasłymi oczyma i zwieszoną bezwładnie dolną szczęką.

— Cha-cha — zaśmiała się krótko śmiechem, przypominającym czkawkę. — cha-cha...

— Zemdlejesz! — wykrzyknął Słomiński, podtrzymał ją ramionami i zaniósł niemal na krzesło. Uderzyła czołem o stół. Spróbował pogłodzić ją po głowie, ale odsunęła jego rękę. Siedziała bez ruchu. Woda syczała na maszynce spirytusowej, Słomiński wyjął trzeciego papierosa i podszedł do okna. Stało się. Nareszcie wygadał. Po dłuższej chwili ośmielił się i nie odwracając głowy mówił śpiesznie.

— Ojciec nie chce mnie utrzymywać. Fabryka zbankrutowała. Nic mnie jednego napędzili. Placesz? A myślisz, że mnie jest przyjemnie? — zawołał nagle z gniewem. — To dobre. Uważam, że to jeszcze szczęście, że teraz mnie zredukowali, nie po ślubie. Wasza szkolna ustawa mówi, że nauczycielka wychodząca zamaż traci posadę. Sama rozumiesz, że w tych warunkach... Ojciec mi powiedział: albo się ożenisz z Grydzlewską, która ma sklep i posag albo ruszaj w świat

za pracą. Zrozumiałe co — krzyknął? — Be- czy i beczy — mrknął z rozpaczą i gniewem. Każdy chce przedewszystkiem żyć, chyba to rozumiesz. Gniewasz się na mnie?

Hastrymówna otarła oczy i potrząsnęła głową. Dwa kosmyki włosów spadły jej na twarz, pokrytą czerwonawymi centkami. Mru-gała szybko małymi oczyma. Była w tej chwili prawie brzydka. Czy ma powiedzieć, że wszystko to co mówi, łamie jej życie? Życie, które miała dopiero zacząć? Nie mówi nic o staraniu się o nową posadę. Wszystko to da- remne.

— Wiesz — rzekła opierając głowę o poręcz krzesła — jak wszedłeś tu i zacząłeś mówić o tym ścisku już wiedziałam wszystko. Po twarzy jej przesunął się zmęczony, słaby uśmiech.

— Moja kochana Zosiu — zaczął Słomiński, zbliżając się do niej. Był zadowolony że wreszcie wszystko wypowiedział. Hastrymówna drgnęła pod jego dotknięciem i wstała.

— Trzeba było powiedzieć — szepnęła, podnosząc zażawioną twarz, — ożenię się z Grydzlewską i koniec. Pojęłabym to. Jeśli nie dziś jeszcze, to później.

Otarła jeszcze raz oczy szybkim, ukradkowym ruchem i mówiła spokojnie i powoli. — Ale herbaty napijesz się? Już woda zapewne zagotowana? Muszę zobaczyć. Nie mam pretensyj. Nauczycielka wychodząca zamaż traci posadę. Teraz są takie czasy. Słomiński nic nie odpowiadał. Nałożył palto i wziął z krzesła kapelusz.

— Wychodzisz już? Pozdrow ode mnie twoich rodziców. Twój ojciec jest dobrym człowiekiem. Zdaje mi się, że polubił mnie wtedy, pamiętasz, gdyśmy się z nim spotkali w kawiarni. — Uśmiechnął się nijako. Ten uśmiech dojrzała dziś rano na jego fotografii. Uśmiech, który mówi — ja już sobie jakoś w życiu poradzę.

— Weź ze sobą fotografię — zawołała nagle. Będzie ci potrzebna. Nic na niej przecież nie napisałeś. — Obserwowała dokładnie jego ruchy. Spróbował naprzód włożyć fotografię do zewnętrznej kieszeni. Za mała. Rozpiął palto i schował ją.

— Chyba nie gniewasz się na mnie? — spytał jeszcze raz. — Był już tak odrażający, że Hastrymówna uczuła się bliską gwałtownego płaczu. Rzekła krótko.

— Nie.

— Dowidzenia.

— Dowidzenia.

Słomiński wyszedł — uf — westchnął z ulgą na ganku. — Ale trudno — rzekł z troską do siebie — trudno.

Minęła jedna godzina, potem druga. Hastrymówna leżała na kanapie, patrząc suchymi oczyma w sufit. O siódmej liczne kroki zatętniły na ganku. Otworzył się drzwi sieni, potem czyjeś ręce poczęły w ciemności suwać po drzwiach w poszukiwaniu klamki.

— Proszę — rzekła i stanęła przy stole. Twarz jej ściągnęła się czujnym opiekuńczym uśmiechem nauczycielki. Zaszemrały jakieś krótkie stłumione narady, potem drzwi otworzyły się i weszła z hałasem cała gromada. Była tu matka kowala z jakąś starą babą, sam kowal i trzech młodych czerwonych ludzi. Świecąca rozradowana gęba kowala ozdobiła czarnym wąsem, tryskała zuchwałym szczęściem. Był to niby zdrowy pniak drzewa, przybrany w czarną marynarkę, biały gors koszuli i czarną krawatkę. Wystąpił na środek, skłonił się i rzekł potężnym basem.

— Niech pani nauczycielka wybaczy nam naszą śmiałość. My z żoną uradzili, żeby panią nauczycielkę uprosić na matkę chrzestną naszego bębna, który nam się w zdrowiu urodził. Stara Gulonka, ta oto kobieta, która tu z nami przyszła, trza pokazać jak my naszą panią nauczycielkę kochamy. Prosimy żeby pani nauczycielka powiedziała nam wedle tego czy będzie łaskawa być chrzestną matką mojego syna o co bardzo prosim.

— Chrzestną matką — powtórzyła bezdźwięcznie Hastrymówna... — chrzestną...

Naraz zauważyła, że twarze gromady spoważniały. Wpatrywali się w nią uważnie. Od- sunęła się szybko w cień.

— Bardzo panu dziękuję. Wielki to dla mnie honor, przyjmuję z radością.

— A widzisz! — wrzasnął z uciechą do Gulonki kowal. Pękata, mała Gulonka uśmiechnęła się z zażenowaniem i zakrywszy twarz chustką, machnęła ręką.

— Ho, ho, ho... — zaśmiali się trzej pa-  
robcy.  
— Pięknie dziękujemy! Pięknie dzięku-  
jemy pani nauczycielce — wyrzaskiwał ko-  
wał.  
Zbliżali się kolejno i całowali jej małą,  
wyziębłą rękę. — Niech będzie pochwalo-

ny — zawołali jeszcze rażno od progu i po-  
pychając się, wychodzili z szuraniem.  
Hastrymówna stanęła przy oknie. Sypał  
gęsty śnieg. Czarne postacie przemylały chy-  
żo do chaty z naprzeciwka, rozradowanej  
gwarem i światłem. Zostawili za sobą ciemną  
smugę ścieżki od szkoły do chaty. Ale śnieg

sypał nieustannie i po chwili droga zagubiła  
się całkowicie. Zdawało się teraz, że szkołę  
od chaty dzieli niezmierzona przestrzeń.  
Hastrymówna myślała o tem, że trudno jej  
będzie z malutkiej pensji odłożyć coś na pre-  
zent dla chrześniaka.

Mistrz rozwścieczony wyrzuca ją za drzwi i  
na nowo wygrywa wspaniałe symfonie to-  
nów i barw. Po pewnym czasie zjawia się  
po raz drugi wielbicielekka i lagodzi gniew  
mistrza pięknym bukietem kwiatów w  
C-dur.

Jak szalenie plastyczne i wyraziste są  
pantomimy prof. Teschnera dowodzi nastę-  
pująca historia, którą opowiadano mi we  
Wiedniu. Jakiś chłopczyk, który był na jed-  
nym przedstawieniu, opowiadał później w  
domu treść sztuki w następujący sposób: a

ALEKSANDER  
Ż Y W

# „ZWIERCIADŁO LALEK”



prof. RYSZARD TESCHNER

Ojczyzną teatru cieni są Chiny, stąd na-  
zwa „chińskie cienie”. Lalki tego teatru pla-  
skie i przezroczyste, robione z kości, były  
kierowane zdołu drucikami, wpuszczanymi  
w drążek, na którym cała lalka była osa-  
dzona. Japońskie lalki różniły się od chiń-  
skich tem, że w przeciwieństwie do tam-  
tych pięknie malowanych, były jednokolo-  
rowe, nieprzezroczyste i prymitywniej wy-  
konane. Jawa, będąca od 5. wieku pod wpły-  
wem Indyj przejęła stamtąd swój rodzaj te-  
atru. Pierwsza wiadomość o lalkach z Ja-  
wy pochodzi z 11. stulecia i tu słyszymy  
poraz pierwszy nazwę lalki. — Wajang,  
która się do dzisiejszego dnia nie zmieniła.  
Teatr ten jest w tych okolicach niesłycha-  
nie popularny. Przedstawienia trwają od  
wieczora do rana przez całą noc. Widowis-  
ko odbywa się przy olbrzymiej kotarze,  
przyczem kobiety siedzą przed kotarą, mę-  
czyźni za nią. W ten sposób kobiety widzą  
same lalki, mężczyźni tylko cienie (stąd na-  
zwa). Lalki są robione z niesłychaną mi-  
sterją ze skóry, kolorowo pomalowane. Rę-  
ce ruchome prowadzone drążkami od dołu  
dają ruchy miękkie i piękne. Do przedsta-  
wień tych jest akompaniament poczęści mu-  
zyczny, poczęści są recytacje i śpiew wy-  
konywany przez tego samego człowieka,  
który lalkami kieruje. Widowiska tego sa-  
mego rodzaju są uprawiane w Persji, Arabji  
i Tunisie.

Teatr ten jednak w Europie się nie przy-  
jął. Przez pewien czas wskrzesił teatr cieni  
Henri Rivières, który w Paryżu w Chat Noir  
z olbrzymim powodzeniem dawał przedsta-  
wienia. Możliwe zanotować jeszcze kilka  
usiłowań przeszczepienia tego teatru na eu-  
ropejski grunt w Monachjum w roku 1900  
i na tem koniec. Obecnie jest w Europie  
jeden tylko człowiek, który jakby kontynu-  
uje świetne tradycje wschodniego teatru cie-  
ni łącząc go swoją własną twórczością z  
teatrem marionetek w nową całość.

Jest to prof. Richard Teschner.  
System gry przejął on z lalek jawańskich.  
Po dokładnym zaznajomieniu się z ich tech-  
niką, zbudował swoją pierwszą scenę z lal-  
kami własnoręcznie rzeźbionymi.

Ciekawą jest postać i życie twórcy tego  
miniaturowego teatru. Prof. Teschner jest  
synem litografa i studjował w Akademji  
Sztuk Pięknych w Pradze, później w Szkole  
Sztuki Stosowanej w Wiedniu. Nie ukończył  
żadnej z nich, prowadząc studja na własną  
rękę. Zajmował się wszelkimi dziedzinami  
sztuki plastycznej a więc: grafiką, rzeźbą i  
malarstwem, swoją własną pracą doszedł do  
tego, że obecnie jest profesorem i członkiem  
Akademji.

Biorąc pod uwagę że prof. Teschner jest  
malarzem, można zrozumieć dlaczego teatr  
jego jest w przeciwieństwie do innych niemy.  
Cytuję tu jego własne słowa, gdyż sam on  
najlepiej wyraził to o co mu chodzi: „To,  
że sam jestem twórcą moich sztuk może się  
wydać poważnym autorom dramatycznym  
śmiałością i dziwactwem, ale ja jestem prze-

dewszystkiem malarzem i rzeźbiarzem i ja-  
ko taki interesuję się przedewszystkiem stro-  
ną malarską i plastyką przestrzeni w mo-  
ich pantominach. Mowę ludzką wykluczy-  
łem ze względów artystycznych; zawsze mia-  
łem wrażenie, że głos ukrytych mówców nie  
pasuje ani w brzmieniu, ani w proporcji do  
małych marionetek”.

Zupełnie nowym pomysłem technicznym  
jest forma sceny. Niema bowiem zwykłej  
czworokątnej ramy, jest okrągłe wklęsłe lu-  
stro, według którego otrzymał ten teatr swoją  
nazwę. Nie nazywa się teatrem marionetek,  
lecz „Figurenspiegel” czyli „Zwierciadło la-  
lek”. W tym nowym teatrze nie widzi się  
aktorów rozgrywających poprostu swoją  
akcję na scenie, ale ukazują się oni widzowi  
w tym właśnie wklęsłym lustrze. Prof. Tes-  
chner operuje także niezwykle techniką oś-  
wietlenia i efekt wywołany przez odbicie  
w lustrze przy genialnie dobranym i wystu-  
djonanym świetle jest niesłychany.

Zbiór lalek prof. Teschnera jest napraw-  
dę imponujący, a w tej chwili duża część ma-  
rionetek jest w Londynie „na występach”. Tu-  
taj zostało pięć dużych szaf, które są wbudo-  
wane wzdłuż ścian pracowni, a z których  
każda mieści jakieś 30 lalek. Zona profesora  
pokazuje mi każdą z nich, objaśnia kon-  
strukcję i demonstruje sposób w jaki się ru-  
szają. Trzeba przyznać, że widok tych oży-  
wiających się pod wpływem jakiegoś nikle-  
go ruchu kierowniczkii lalek jest piękny. Ru-  
chy ich są wolne, bardzo miękkie i lalki ru-  
bią przez to wrażenie istot naprawdę nie z  
tego świata. Niema takiego gestu, którego-  
ś każda z tych figurek nie mogła wykonać —  
i można sobie dobrze wyobrazić jak to mi-  
niaturowe widowisko wieczorem przy świe-  
tle i z całym aparatem scenicznym działa na  
widza, który dzięki temu teatrykowi od-  
rywa się na kilka godzin od rzeczywisto-  
ści i przeżywa jak dziecko najróżniejsze baj-  
ki. Marionetka taka jest bardzo pieczołow-  
cie wypracowana i widać z jak wielką mi-  
łością jest robiona. Lalka jest osadzona na  
drążku, na którym jest kilka kółek, każde  
kółko połączone z jakąś częścią lalki i przy  
odpowiednim posunięciu wywołuje ruch czy  
to głową czy to ramieniem. Ręce mają każda  
osobny drążek i z ich pomocą robią niezli-  
czony szereg cudownie charakterystycznych  
i wolnych ruchów. Wszystkie lalki, taksamo  
rekwizyty i dekoracje projektował i wyko-  
nał prof. Teschner podobnie jak sztuki, któ-  
re teatr gra. Pomaga mu w tem dzielnie żo-  
na, która szyje kostjmy.

Tych dwoje ludzi żyje naprawdę tylko  
dla marionetek. Najważniejszą częścią mie-  
szkania są dwie pracownie. Jedna, w której  
są aparaty techniczne, warsztat stolarski i  
olbrzymi stół, przy którym powstają owe  
małe arcydzieła, druga ze zbiorami, szafami  
pełnymi kompletów lalek i t. d. Są tu też  
kolekcje lalek jawańskich i zbiór zabawek  
ludowych. Przy przedstawieniu pomaga p.  
Teschnerowi dwoje asystentów. Oto mniej  
więcej w skrócie treść dwóch sztuk, które  
wydały mi się najbardziej charakterystycz-  
nymi.

Pierwsza nazywa się Künstlerlegende  
(Legenda o Artyście). Artysta rzeźbiarz spo-  
tyka kwiaciarkę na ulicy starego miasteczka.  
Prosi ją, aby mu pozowała i gdy ona się  
zgadza, zaczyna pracę. W czasie jednego  
z tych posiedzeń przychodzi mecenas arty-  
sty. Po chwili wysyła go po wino. Rzeźbiarz  
musi odejść a w czasie jego nieobecności  
mecenas próbuje zbliżyć się do dziewczyny.  
W ostatniej rozpacz, gdy już niema ratun-  
ku, usiłuje ona wspiąć się po olbrzymim  
kandelabrze zwisającym z sufitu, ale ten  
obrywa się i zabija ją. Po pewnym czasie  
artysta ukończył rzeźbę i ustawił w swoim  
ogrodzie. Mecenas poczuwając się do winy  
ucieka z miasta a rzeźbiarz zostaje smutny  
i zrezygnowany przy swej rzeźbie.



Misterjum Bożego Narodzenia

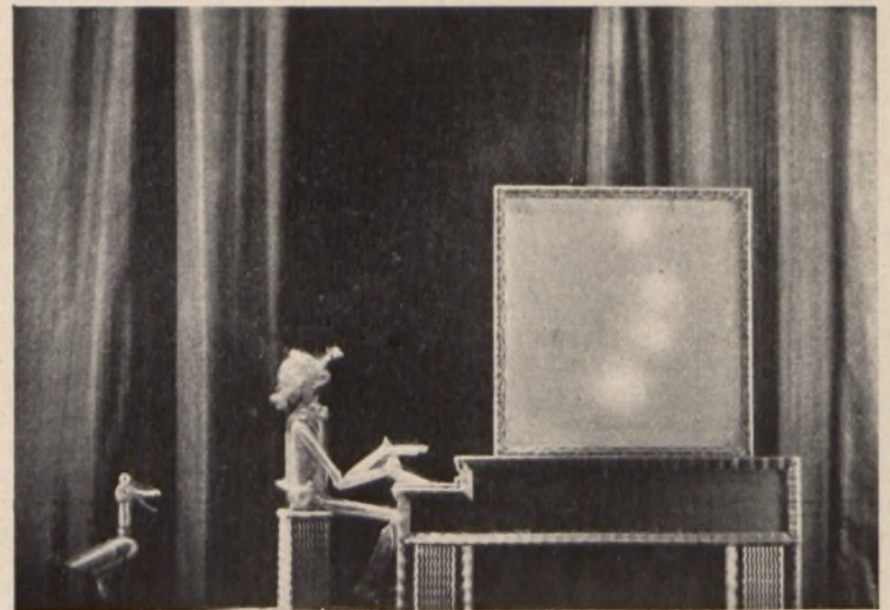
Binini, człowieczek ze szkła, próbuje  
swoją nową wynalazek — fortepian kolorów.  
Ponieważ w gamie jest siedem tonów a w  
tęczy siedem kolorów więc fortepian jest  
skonstruowany tak, że przy każdym uderze-  
niu w klawisz ukazują się na ekranie roz-  
wieszonym nad fortepianem odpowiednie  
kolory. Binini zachwycony swoim dziełem  
gra pełen zapалу, gdy nagle przychodzi i  
przeszkadza mu jakaś wielbicielekka, wpraw-  
dzie miła, ale absolutnie niemuzyczna.

on mówił to, a księżniczka odpowiedziała  
tamtę i t. d. Gdy zwrócono mu uwagę, że  
lalki przecież wcale nie mówią, chłopak za-  
protestował z oburzeniem.

Słyszac opowiadania o przedstawieniach  
i widząc te piękne lalki trzeba przyznać ra-  
cję Reinhardowi, który po wizycie u prof.  
Teschnera powiedział: „Oby każdy reżyser  
miał tak posłusznych sobie aktorów a sztuka  
aktorska osiągnęłaby poziom przewyższają-  
cy wszystko co dotychczas teatr stworzył.



Legenda o artyście



Binini — człowiek ze szkła

## SZTUKA JEST FUNKCJĄ ŻYCIA

W czerwcu r. b. zawiązał się w Warszawie „Blok Zawodowych Artystów Plastyków”. Do nowej organizacji przystąpili artyści zgrupowani w następujących Stowarzyszeniach: Bractwo Sw. Łukasza, Ryt, Ład, Szkoła Warszawska, Łoża Wolnomalarska, oraz szereg artystów niezrzeszonych. Prócz tego zgłosiły swój akces do Bloku poważne ugrupowania artystyczne z poza Warszawy.

Władze Stowarzyszenia ukonstytuowały się jak następuje:

Rada: pp. Rektor T. Pruszkowski, Prof. W. Jastrzębowski, M. Bylina, W. Podoski, L. Kintop, L. Bohdanowicz, M. Sigmund, J. Zamoycki, B. Krasnodębska-Gardowska, M. Jurgielewicz.

Zarząd: pp. E. Kokoszko, B. Cybis, T. Cieślowski jr., E. Arct, E. Manteuffel, K. Orthwein.

Komisja Rewizyjna: pp. E. Czerwiński, S. Ostoja-Chrostowski, R. Schneider, J. Umińska.

Blok Zawodowych Artystów Plastyków ogłosił następującą Deklarację Ideową:

Jesteśmy organizacyjnym wykładnikiem szerokiego odłamu społeczności artystycznej, który chce skrzystalizować, mimo rozliczne stawiane mu przeszkody, najistotniejsze cechy polskiej twórczości plastycznej, opartej na głębokiej wierze we własne siły.

Organizacja nasza wchodzi w życie w chwili, gdy zataczający coraz szersze kręgi

ferment jałowych sporów i niezdrowych metod walki, zatrąwia atmosferę pracy twórczej, zrywa łączność między artystą a społeczeństwem, a tem samym niszczy najrzetelniejsze wartości, na których musi się oprzeć dalszy rozwój sztuk plastycznych w Polsce.

Będziemy walczyli o swobodę ruchu i czynu artystycznego w Polsce, by zwiększyć skalę i zasięg ujawniania się rodzimych wartości plastycznych i umożliwić narastanie własnej tradycji artystycznej.

Sztuka jest emanacją i funkcją życia; z założenia powyższego wyciągniemy jaknajdalej idące wnioski.

Będziemy ciągle kontrolowali i aktualizowali nasze stanowiska, by stosunek do życia uczynić możliwie intensywnym i bezpośrednim; by różnicowanie i rozrost problemów w poszczególnych specjalnościach plastycznych, wykształcały się w bezustannym kontakcie z potrzebami chwili bieżącej.

Nie dopuścimy by plastyka polska miała chęć na chwilę zalać się w niedowiarstwie i powątpiewaniu we własne siły; nie zrezygnujemy z walki o godne a należne sztuce miejsce w szeregu najważniejszych elementów budowy kultury narodowej.

Wobec ogromu postawionych sobie zadań praca nasza obliczona jest na długie lata. Jeśli zbudujemy solidne podstawy dla rozwoju sztuk plastycznych w Polsce w myśl rzucanych tu haseł, to cel nasz — w pierwszej fazie działalności — będzie osiągnięty.

JÓZEF PRZEKŁADY  
CZECHOWICZ

Z ALEKSANDRA BŁOKA

## DZIEWCZĘ ŚPIEWAŁO...

Dziewczę śpiewało w cerkiewnym chórze  
o tych, zmęczonych obczyzną złą,  
o statkach mknących przez wielkie morze,  
o tych, co radość zgubili swą.

Głos jej tak śpiewał wionąc w kopule  
i błyszczał promień na bieli rąk;  
słuchali, z mroku patrzyli czule:  
śpiewa na szatce odbłasku krąg.

Już się zdawało, że radość będzie!  
— do zatok cichych okręty mkną  
i na obczyźnie wreszcie osiedzie  
tułacz, spokojny znajdując dom.

I głos był słodki i blask strzelisty;  
tylko tam, wyżej, u Świętych Drzwi,  
drżał przy komunji płacz dziecka czysty,  
bo przecież nigdy nie wraca nikt...

Z JANA B. CAPKA

## PIOSENKA

Na ścieżce, w gaju schorzałych osin  
hawiliśmy się pierścieniem słońca.  
Mignął nam łukiem, młodą piosenką,  
nad opuszczoną, leśną studzienką.

Dziewczę westchnęło najcichszym srebrem  
i gaśnie, brzoźką ślania się bladą.  
Złote kółeczko gałzy trąciło,  
niby ła jasna gładź zamąciło.

Któż je ocali? Żar-ptak je chyba  
w dziobie skrzywionym do rąk przyniesie!  
W studziencie mrocznej. Zmierch się tu kłoni.  
Pierścień mój ginie w ściemniałej toni.

Czekam i czekam — las tylko szumi.  
Wolam — sam jestem w tym tłumie drzewnym.  
Pierścionek na dnie woda potoczy  
Już nie zobaczą go moje oczy.

Z JAROSŁAWA SEIFERTA

## KSIĘŻYC NAD GAZOWNIĄ

Kominy — bez mięsa — bez kości,  
puste nogawice wiszą w wieczności.  
Oto nogawice śmierci,  
w które dziś księżyc świeci.

Swy mego ciała zagnęła trzaskaną,  
żarówki zapalały się i zgasną.  
Dusza pożegna padół mizerny,  
wznosząc się, jak gazowe cysterny.

Godziny równo muszą się prężyć.  
Stań, oko: nad gazownią księżyc.  
Jak dziecinne baloniki wydęte gazem  
nadmiemy się i zginiemy zarazem.

Tylko jedna odwiedzi mnie w domu moim  
śmierć. Okryta zielonym zawojem, srebrnym zawojem.  
Dzisiaj nowy rok się rozpoczyna.  
Człowiek wszak umiera jedynie oczyma.

Za oknem wiszą puste nogawice,  
wirują nad niemi gwiazdne mgławice.  
Wszystko dokoła jest z gazów —  
wybuchniemy i zginiemy odrazu.

I, na szczęście, nie będziemy gliną,  
którą beczek dna się zamazuje.  
Nad tem miastem, nad ziemią rodzimą,  
beczki się toczą, ciemności płyną.

Jednym z tych mroków będziemy my sami,  
lęcący wysoko, ponad troskami.  
To może śmieszne nawet  
stać się cieniem w gazowym stawie.

Spluwający na te nogawice,  
wymierzone w bladeść księżycy,  
jeszcze oczy twe otwarte minę  
i z oddechem twoich ust popłynę.

Tylko jedna odwiedzi cię w domu twoim  
śmierć.

T A D E U S Z  
CIEŚLEWSKI (syn) O SZTUKĘ W KTÓREJ  
SIĘ DUCH TŁUMACZY

Powstanie stowarzyszenia „Blok Zawodowych Artystów Plastyków” jest skrzystalizowaniem się w czynie organizacyjnym pewnej potrzeby, nurtującej umysły szeregu artystów niezależnie od ich indywidualnych stanowisk wobec zagadnień sztuki.

Potrzebą tą jest tolerancja dla rozmaitych dróg przedsięwziętych ku stworzeniu sztuki, któraby mogła z czasem rościć sobie prawo do miana odrębnej dzięki własnym pierwiastkom twórczym.

W nurcie wieków historii sztuk plastycznych Polska uczyniła do niej wkład nieomal żaden, jeśli chodzi o wartości twórcze. Z takich czy innych powodów byliśmy wobec sztuki europejskiej jedynie uczniami, aczkolwiek w kilku wypadkach bardzo zdolnymi, ostatnio nawet wybitnymi, to jednak właściwie dopiero dzień wczorajszy odsłonił kilka nazwisk polskich, które mówią o zdolnościach twórczych naszego narodu. I oto właśnie kiedy zaczęliśmy ten twórczy udział w pracy narodów Europy nad rozwojem sztuki, właśnie teraz pewni artyści nagle przekreślają ten udział i na nowo ślepo korażą się przed, przebrzmiałemi zresztą na zachodzie, hasłami malarstwa, narzucając naśladownictwo jako jedyną prawdziwą sztukę. W imię tego naśladownictwa wyszydają też cechy odrębności naszego wysiłku artystycznego.

Dyskusja w prasie na temat owej „pro-wincjonalnej” odrębności naszej sztuki, a „stofecznością” sztuki robionej nad Sekwaną, rozwinęła się w tonie tak namiętnym, że aż nie gardzącym niejednokrotnie obelżywą napastliwością.

Nie negując wartości artystycznej dzieł ludzi, którzy zwalczają swojskość sztuki w Polsce, pragniemy, zawiązując nasze stowarzyszenie, umocnić zasadę tolerancji jako podstawę współpracy rozmaitych, nazwijmy je tak „kierunków”, dla jednego celu.

Nie upieramy się, że sztuka polska ma być sztuką koloru, albo sztuką formy czy linii, ale upieramy się, że sztuka w Polsce ma być zupełna, to znaczy, że nie może zabraknąć w jej lirze ani jednej struny.

Uważamy, że kultura artystyczna danego kraju nie może zaczynać się i kończyć na olejnym czy akwarelowym obrazku. Uważamy, że zagadnienia sztuki obejmują także inne działy, jak na przykład budownictwo, meblarstwo czy faktwo. Społeczeństwo, lubujące się jedynie pięknymi obrazkami, a siedzące na brzydkich meblach w brzydkich wnętrzach jest, naszym zdaniem, społeczeństwem niekulturalnym.

„Blok Zawodowych Artystów Plastyków” przez swe powstanie, w składzie takim

w jakim się właśnie zorganizował, chce podjąć wysiłek w kierunku ukulturalnienia życia społeczeństwa w zakresie spraw sztuki.

Stowarzyszenie nasze chce podjąć pracę nad ugruntowaniem w świadomości i czynie społeczeństwa Norwidowej ewangelii sztuki, której ideą przewodnią jest, aby sztuka nie stanowiła jedynie smakoluku dla sybarytów, lecz chleb powszedni dla głodnych.

Brzozowski powiedział, że walka o sztukę, to walka o człowieczeństwo. Wszakże nie jest walką o człowieczeństwo stanie u żłobu cudzego w który cudza dłoń obcą strawę kładzie.

Nie jest walką kładzenie sobie na szyję obroży dobrowolnej niewoli. A tak niestety obecnie poraż któryś tam znów się w naszej sztuce dzieje.

Bowiem jeśli, powiedzmy, Gauguin czy Cezanne lub Sisley wypracowali sobie pewne malarskie ujęcie rzeczywistości, to nie dlatego, że nauczyl się tego od jakichś mistrzów z Niemiec czy Italii ale dlatego, że wpatrzeni w pewien pejzaż swojemi własnymi oczyma dali własne dzieło sztuki. Ktoś kto maluje pejzaż polski wedle obrazów tamtych artystów dowodzi, że ich nietylko nie rozumie, ale i nie szanuje, czyniąc z ich najgłębszej artystycznej spowiedzi powierzchowną manierę.

Jeśli słusznie powiedział Goethe, że kto chce zrozumieć poetę, musi poznać jego kraj ojczysty, to o ileż słuszniej odnosi się to do artysty malarza.

Artysta polski patrzący na Podhale przez receptę prowansalską Cezanna kompromituje się jako artysta wogóle. Artysta polski nie interesujący się Podhalem czy Pomerem kompromituje się tembardziej. Świadczy on o sobie jako o ślepym naśladowcy recept. To też dopóki artyści polscy nie znajdą malarskiego wyrazu dla pejzażu polskiego, dopóty sztuka polska nie będzie mogła zaliczać się do twórczych. Dopóki artyści polscy nie znajdą w swych kompozycjach malarskiego wyrazu dla psychiki polskiej, dopóty sztuka polska będzie jedynie „pawiem i papugą narodów”.

Właśnie dla przeciwstawienia się tej niepojętej a wstyd przynoszącej polskiemu imieniu akcji podnoszenia niewolnictwa artystycznego wobec obcych wzorów do wysokości chwalebnej „europejskości” zreszylismy się pod hasłem „chwalebnej polskości”, która z ducha i ciała polskiego wyprowadzi sztukę polską, dając społeczeństwu i państwu własny dywan, własny pułk, wnętrze mieszkalne, obraz, rycinę, fresk czy posąg w którym się „duch polski raz wreszcie wytłumaczy”.

# NOWA KSIĄŻKA O „PANU TADEUSZU”

We wstępie do nowego komentowanego wydania „Pana Tadeusza” prof. Stanisław Pigoń dał już przed laty dziesięciu jedno z najpiękniejszych studjów historyczno-literackich o tym arcyepoecie Mickiewicza i Polski. Wiadomo było zresztą, że prof. Pigoń przygotowuje obszerniejszą pracę o „Narodzinach epopei” mickiewiczowskiej. Temat ten stanowi główną treść wydanej obecnie monografii. Rozmieszcil go autor w pięciu rozdziałach, których tytuły: Tradycje obyczajowe, Tradycje literackie, Pierwszy pomysł, Fala heroizmu i Fala żywiołu epickiego, — wytyczają zasadnicze nurty tworzenia poetyckiego. Wyszedłszy z założenia, że „miłosne pożądanie konkretnego” było jednym z naczelnych znamion żywiołowości patryjotyzmu Mickiewicza, prof. Pigoń przedstawia kolejne wątki uczuciowe i ideowe poematu, śledzi ich źródła, powinowactwa i narastanie. W ten sposób czyni on nas niejako świadkami „wzrostu” „Pana Tadeusza”. Znakomicie pogłębia nasze rozumienie poety i jego dzieła. Niekiedy otwiera nowe widoki, nie cofa się nawet przed dość śmiałoimi tezami, jednak uzasadnia je zawsze z taką siłą i wyrazem przeświadczenia, iż czytając studjum prof. Pigionia, jesteśmy zupełnie przekonani. Dopiero później nasuwają się niejakię zastrzeżenia co do słuszności pewnych wniosków.

Spieraćby się można, czy wskazany przez prof. Pigionia związek tradycjonalizmu struktury „Pana Tadeusza” z powieściami Niemcewicza jest naprawdę ważnym ogniwem organicznego poematu. Ale w tej perspektywie doskonale się uwydatnia rodzaj mickiewiczowskiego arcyepoematu. Wziąwszy zaś pod uwagę wnioski, do jakich doszedł prof. Kleiner w 1.ym tomie swej nowej monografii, utrwała się pogląd, że niespożyta siła arcyepoematu poety polega właśnie na umiejętnym a wszechstronnym wyzyskaniu tradycyjnych wartości kulturalnych i formalnych. W świetle książki prof. Pigionia potwierdza się raz jeszcze, że w „Panu Tadeuszu” najdoskonalej zespolił się twórczy indywidualizm poety z najgłębszym ukołchaniem rzeczywistości polskiej, idealnie prześwieconej tęsknotą tułacza na obczyźnie. Ale co ważniejsze i co przedewszystkiem wynika z wszechstronnie uzasadnionych wywodów autora, że „piękno „Pana Tadeusza” jest nie jedno, — ale wielowymiarowe, nie tylko bawi oczy, pięści słuch i rozrzewnia serce miłą płaszczyzną życia, ale zarazem czaruje nas wewnętrzną wizją istoty narodu, płonie ogniami mesjanicznego uwielbienia Polski, porywa duszę na wyżyny wzniosłości”. W rozdziale p. t. „Kopuła wzniosłości” prof. Pigoń podsumował wyniki swoich dochodzeń, w których obchodzą go — jak sam stwierdza — „w pierwszym rzędzie wartości wewnętrzne, te jakby zębrowania ideowe, na których się wspiera wizja poetycka „Pana Tadeusza”, jakby osi myślowe „koło których skrytała zwała się zwyczajna, zewnętrzna jego fabuła”. Wydobycie na jaw i historyczno-kulturalne wyjaśnienie zagadnień ideowych, czyli treści myślowej poematu, oto zadanie, jakie sobie autor monografii postawił. Dlatego też rozbiór strony artystycznej, potraktowany raczej ubocznie, wypadł niezupełnie, aczkolwiek i w tym kierunku rozsiął autor szereg przygodnych uwag, wynikających z treściowej analizy poematu. Lecz było właśnie zamiarem jego, aby wykazać, że piękno „Pana Tadeusza” nie wyczerpuje się w bujnej wzorzystości, zmysłowem pięknie i wspaniałym obrazie miłej sercu powszedniości polskiej, że naodwrot piękno to „strzela w górę, jak koronkowa, z kamienia i błękitu tkana wieża katedry gotyckiej”.

To też z monografii prof. Pigionia „Pan Tadeusz” wychodzi przedewszystkiem jako arcyepoemat „zagadnień centralnych, stano-

wiących w owoczesnym rozumieniu poety tajemnicę życia narodu, zarówno jak człowieka”. Taki pogląd na mickiewiczowską epopeję musiał doprowadzić do snucia wniosków najdalszych z nikłych przesłanek. Uderza to zwłaszcza w interpretowaniu tekstu „Pana Tadeusza” w stosunku do sprawy unji polsko-litewskiej. Wogóle zaś chęć podniesienia poglądu na „Pana Tadeusza” do najwyższego tonu zagadnień narodu i człowieka, a na owem właśnie umiłowaniu konkretnego, co prof. Pigoń tak bystro i zwięźle uwydatnił na wstępie swego studjum, a co też stanowi w pierwszym rzędzie o trwałość, wciąż aktualnym znaczeniu poematu, o jego wiekuiestę, powszechnej, nieprześcignionej wartości. Byłoby błędem sądzić, iż prof. Pigoń przeocza tę stronę wielkości „Pana Tadeusza”, ale zapuściwszy się w gąszcz „elementów życia duchowego”, ponieważ pomniejszył to, co w tym arcyepoemacie jest najistotniejsze. Stąd też wymiary wzniosłości poematu w oświetleniu prof. Pigionia uległy znacznemu przesunięciu w kierunku idealistycznym, gdy w naszym odczuwaniu współczesnym najmocniejszym wyznacznikiem wielkości „Pana Tadeusza” jest jego wspaniały realizm.

Wydając swą książkę w stuletnią rocznicę „Pana Tadeusza”, uzupełnił ją prof. Pigoń dziejami sławy poematu, charakteryzując kolejno własną ocenę poety, jego współczesnych i pokoleń następnych, aż po czasy ostatnie. Z sądów najwcześniejszych do najciekawszych należą głosy Niemcewicza, Worcella, Słowackiego, Krasińskiego i Norwida. Świadcstwo ówczesnego ogółu przedstawia Zaleski, który „Pana Tadeusza” ocenił jako piękny i rzewny obrazek obyczajowości ojczystej. Przełomowe znaczenie miało zapomniane studjum Tokarzewicza, następnie rozprawa Zatheya. Odtąd poczyna się „dorastanie” krytyków do miary „Pana Tadeusza”, a dla pokolenia po roku 1863-im wyrazem ogółu jest „Latarnik” Sienkiewicza. „Dopiero Sienkiewicz — stwierdza prof. Pigoń — tak nastroił dusze polskie, że odnosić się będą do „Pana Tadeusza” ponad zamęt dyskusyj estetycznych, z odczuciem czcigodności. Dla ugruntowania sławy i wzniesienia poematu w narodzie uczynił „Latarnik” Sienkiewicza więcej niż wszystkie studia analityczne. Ich wyniki nakrył od razu szczytnym sklepieniem uwielbienia. Nie znaczy to oczywiście, żeby je zatlumił, albo uczynił zbędnymi”. To też tym ostatnim prof. Pigoń poświęca stosunkowo najwięcej uwagi, daje rozumowany przegląd wybitniejszych ocen i określa ich stanowisko w rozwoju poglądów na „Pana Tadeusza”. Obszernie zajął się także rewizjonistyczną rozprawą J. N. Millera, przypisując jej może nazbyt duże znaczenie. Z wywołanych przez ten atak szkiców i rozpraw za najlepszą odpowiedź uznaje rzecz prof. Kleinera „O „Panu Tadeuszu” książkę budującą”. Należy teraz stwierdzić, że monografia prof. Pigionia zarówno w zasadniczej swej części jak i w całości odegra niewątpliwie doniosłą rolę w krzewieniu kultu poematu, a w dziejach jego sławy zajmie miejsce jedno z najprzedniejszych. Tembardziej, że książka to silnie nasycona żywiołem osobistego uwielbienia, co znalazło wyraz także w bardzo pięknym, nieraz porywającym jej stylu. „Prosta jest — zamyka prof. Pigoń swe wywody — tajemnica tej wytrwałej miłości, jaką Polska żywi dla „Pana Tadeusza”. Pokolenia po pokoleniach czują prawdę sądu Niemcewicza: „W tem dziele narodowość nasza uzyskała najwyższy, nieśmiertelny wyraz poetycki”. Świadcstwem tej prawdy jest również książka prof. Pigionia.

K. Czachowski.

## „PROWINCJUSZE”

„Prowincjusze czyli miasto, jakich wiele”. Taki bowiem tytuł nosiła powieść\* w odcinku „Kurjera Warszawskiego”. Zestawienie tych dwóch tytułów charakteryzuje ją do pewnego stopnia. Nietylko temat, ale także zarobliwą postawę autora oraz jego niewątpliwie pretensje do typowości. Łopalewski w swym Zawadzie nad Rajną opracował model prowincjonalnego życia. Lista osób, które żyją i działają na obszarze brudnego i wyboistego miasteczka powiększyła się o osobę starosty, jako przedstawiciela władzy. Jest to fakt znamieny dla beletrystyki współczesnej, obrazującej prowincję. Pozostali wyobraziciele inteligencji małomiasteczkowej: ksiądz, doktor, aptekarz, sędzia i nauczyciel zdawał na już mieli etatowe miejsce w piśmiennictwie. Życie tych ludzi zbiega na wypełnianiu nieskomplikowanych obowiązków powszednich, skąpych rozrywkach i tanich przyjemnościach. W skali wzruszeń i działań są za zwyczaj mikroskopijni, zabawni i nieważni. Pomijam nieliczne wyjątki. Chęć podkreślić, że dziewięćdziesiąt procent naszej beletrystyki widzi i przedstawia prowincję z fałszywego dystansu stolicy. Stąd bierze początek satyryczna technika powieści, stąd monotonia typów i wydarzeń. A przecież to nastawienie pobłażliwie kpiące, jeśli jest w pewnej mierze słuszne, to z pewnością nie jest jedynie. Powaga losu ludzi zawartych w ciasnym kolisku zawodowych rogatk uchodzi za zbyt często uwadze pisarzy. Dzisiaj, w epoce przeciętnej człowieka, który wreszcie doszedł do głosu w literaturze, tak ja w poezji przejawiało się piękno powszedniości — taki aprioryczny stosunek do świata małomiasteczkowego wygląda na anachronizm. Anachronizm jakże niepotrzebny, jeśli uwzględnić, że Łopalewski czy to w postaci Rojsta, czy doktora Tokarskiego czy przedewszystkiem buchaltera Zmody umiał przezwyciężyć groteskę pozorów i dotrzeć do autentycznego człowieka.

Można mieć słuszny żal do autora o to, że poszedł drogą satyrycznych uproszczeń i ulatwień. Bo satyra „prowincjusów” nie polega na takiej stylizacji wydarzeń, która by zniekształcając je komicznie wydobywała przez to wewnętrzny tragizm rzeczywistości. Niema w niej nic z estetycznego donkiszotyzmu, chyba tylko we fragmentach, gdzie świetny mimo wszystko talent Łopalewskiego wyłamywał się z przybranej pozy żartobliwego narratora.

Ironizując nie zdołał pisarz skupić się artystycznie, szczerze wysilił nad formą powieści i opanował jej. Dotyczy to w pierwszym rzędzie techniki opisu bardzo pospolitej oraz języka. Sugestywność widzenia za ledwie w paru zdaniach zademonstrowana nie zaznaczyła się w prozie płynnej, nawet wartkiej ale banalnej. Przyroda żywa czy martwa oraz sposób eksponowania przeżyć postaci literackich jest tutaj zbyt technicznie jednostajny. Fabuła bierze górę nad reżyserją w sposób widoczny, ze stratą dla sztuki pisarskiej. I to jest właśnie największą pomyłką „Prowincjusów”: przystosowanie formy do tematu, uproszczenie techniki, sprowadzenie całej powieści do miary narracji o rzeczach miłych i zajmujących, ale bezwzględnie błahych. Nieważność tematu, nieważność formy, na koniec nieważność książki w sensie odkrywczego arcyepoematu.

Zdobywając się na udatne kreacje psychologiczne niekiedy, ale niestety rzadko demonstrował Łopalewski próbki swych możliwości opisowych. Są one doprawdy nieprzeciętne jak tego dowodzą dwa drobne pejzaże odrębną zrobione techniką a przecież równie oryginalne i mocne. Przytaczam je w całości: „Miasto napelnione było świąteczną bez troską, aż po krawędzie dachów i wyżej, pod otwarte okna facjatek, gdzie czerwieniły się fuksje i pelargonie, kłębami wywalające się z doniczek w promiennoci światła”. I obraz drugi: „Dzień był pochmurny. Za miasteczkiem dął silny wiatr krając powietrze i strugając z rzecznej gładziny pieniste wióry. Po niebie toczyły się wydęte kadłuby chmur”. W pierwszym krajobrazie jedna tylko linja krawędzi pozatem barwna plama i światło, w drugim element kolorystyczny nie występuje, autor otwiera pejzaż wypukły i ruchliwy. Napozór szczegół małoważny w powieści, gdzie decydują większe proporcje, a prze-

\* Tadeusz Łopalewski „Prowincjusze” powieść. Rój.

cież nie dający się pominąć jako przykład artystycznej prozy w wysokim gatunku.

I dlatego przyznając książce nieprzeciętne walory czytelnicze, jest bowiem zajmująca, barwna, pełna beletrystycznego tempa — trudno nie zarzucać autorowi, że tak mało się przyłożył do formalnego jej ukształtowania, że, mogąc, nie chciał skomplikować środków swych wypowiedzi. „Prowincjusze” posiadają zakrój na powieść większego kalibru, ale wybitną realizacją nie są w żadnym razie. Nie stanowią etapu w rozwoju pisarskiego talentu, nie przynoszą nowych zdobyczy, nie pomnażają możliwości. Świadcząc mimo to o wysokiej randze literackiej Łopalewskiego zniewalają go do szerszego wysiłku, do większych zamierzeń, do rzetelniejszego wykonania — słowem do podjęcia tych żmudnych obowiązków, które owa ranga utalentowania i kultury nakłada na pisarza.

Z. Kucharski.

## „GWIAZDY W STUDNI”

Napisanie dobrej książki dla młodzieży, to rzecz wysoce trudna. Nie przestając być „dorosłym”, trzeba umieć odnaleźć w sobie po raz drugi wczesną młodość: owo naiwne i jasne spojrzenie, ów zuchwały poryw serca, wyrzasty kontur myśli i niezachwianą wiarę w realne istnienie wartości. Dopiero wówczas słowo pisane stanie się akustycznym — potrafi wywołać odpowiedni rezonans wśród młodych czytelników.

Zdaje się, że Morcinek na taki rezonans będzie miał prawo liczyć. Mimo bowiem pewnych wad „Gwiazdy w studni”\*) zajmują w obecnej literaturze dla młodzieży jedno z pierwszych miejsc.

Opowieść o losach Hanysa i Krysi (akby śląskich krewnych Stasia i Nelli) pomysiana jest bardzo prosto, ale zarazem szczęśliwie. Pozwala bowiem czytelnikowi zapoznać się z terenem śląskim i z formami tamecznego życia (a zna je Marcinek nawylot!) oraz wejść w krąg zagadnień aktualnych dzisiaj, wprost palących, jak bezrobocie, kryzys gospodarczy i t. d. Słowem, książka łączy w sobie egzotyzm (tak ważny dla młodych czytelników!) z rodzimością (tak ważną dla przyszłych obywateli państwa!) i materiał anegdotyczny z materiałem faktycznym. To, bodaj, główna zaleta książki. Są jednak i inne. Przedewszystkiem wprowadzenie młodzieży w świat pracy, w świat robotniczy i ukazanie (obok wad) rzetelnych wartości moralnych „tamtych” ludzi. Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że z pracy czyni Morcinek rodzaj głównego bohatera powieści, główny trzon fabularny i ideowy. Oczywiście, w pierwszym rzędzie zyskuje na tem konstrukcja powieści, jednocześnie jednak podnosi się jej wartość wychowawcza. Ze Morcinek dba o nią, że nieraz nawet (ze szkodą dla całości) przeholowuje w dydaktyzmie, o tem świadczy każdy rozdział „Gwiazd w studni”. Podobnie ma się rzecz z dwoma innymi jeszcze momentami: religijnym i państwowo-obywatelskim. O ile pierwszy z nich cierpi nieraz na przesłodzenie, na nadmiar kłiwego sentymentu, o tyle drugi użyty jest szczęśliwie i w miarę dyskretnie. Wprawdzie trudno osądzić, w jakim stopniu jest to zasługą autora, w jakim zaś władz wojewódzkich (zorganizowanie Komitetu Ogródków Działkowych dla bezrobotnych jest jednym z najlepszych osiągnięć w Polsce odrodzonej), niemniej jednak musimy stwierdzić, że książka ogromnie na tem zyskała. Posiada ona — jak zresztą i „Wygrabany chodnik” — wyraźne oblicze ideowe; bije z niej wiara w przyszłość i wewnętrzna tężyżna.

Największe zastrzeżenia budzi strona psychologiczna powieści. Autor ujmując ją przeważnie schematycznie, niekiedy wręcz banalizuje (w stylu książeczek „dla grzecznych dzieci”). Niedosć na tem. Gdy wprowadzi jakąś ciekawszą postać, postać predystynowaną do spełnienia czynów bohaterkich (a lubi to młodzież, i słusznie!), psuje ją samochęć, przeszkadza wywołici się zamierzonemu bohaterstwu. (Mam na myśli np. moment odnalezienia Krysi oraz pieniędzy, ale nie przez Hanysa!). Gdyby autor uniknął w przyszłości podobnych błędów, znacznieby zyskały na tem jego książki, no — i młodzi czytelnicy.

J. Miernowski.

\*) Gustaw Morcinek: „Gwiazdy w studni”. Powieść dla młodzieży. Nakład Księgarni św. Wojciecha.

# PIERWSZA NAGRODA LITERACKA IM. FILOMATÓW W WILNIE



TADEUSZ ŁOPALEWSKI

Nagroda Literacka Miasta Wilna po przyznaniu jej Kazimierze Illakowiczównie utknęła na martwym punkcie wobec trudności finansowych, jakie przeżywa Zarząd miasta. Niewiadomo kiedy będzie ona przyznana po raz drugi. Ta okoliczność spowodowała, że Związek Zawodowy Literatów Polskich w Wilnie spróbował stworzyć swoją własną wileńską nagrodę. W ten sposób powstała Nagroda Literacka im. Filomatów. Pierwotnie miała ona wynosić tylko 500 zł., jednak Ministerstwo W. R. i O. P. na skutek interwencji K. Illakowiczówny przyznało ze swej strony również 500 zł., zwiększając tem nagrodę do tysiąca.

W dniu 16 czerwca jury pod przewodnictwem prof. Manfreda Kridla, Dziekana Wydz. Human. U. S. B. przyznało tę nagrodę za rok bieżący Tadeuszowi Łopalewskiemu i Czesławowi Miłoszowi. Podział nagrody wynikł z podziału głosów, każdy z kandydatów otrzymał tę samą ilość. Podział tak małej kwoty pieniężnej spotkał się ze słusznym zastrzeżeniem delegata Ministerstwa i opinji. Zarząd Zw. Zaw. Lit. Pol. w Wilnie zamierza tak zmienić statut Nagrody oraz regulamin obrad i głosowania jury, żeby na przyszłość podobnemu podziałowi zapobiec.

Tegoroczni laureaci reprezentują dwa kolejne pokolenia literackie Wilna. Przedstawiciel starszego pokolenia Tadeusz Łopalewski znany jest nie tylko z liryki i tłumaczenia Bylina, które wymienia orzeczenie jury, ale również z powieści i utworów dramatycznych.

Już w roku 1925 na turnieju poetyckim lirykami (wiersz: Piękna podróż) zdobył

pierwsze miejsce. Jednak potem poniechał twórczości lirycznej, zamykając ją wydaniem zbioru wierszy p.t. Piękna podróż. (Warszawa 1928. Nakładem księgarni F. Hoessicka.). Poprzednio wydano: Majowce (Warszawa 1921) oraz Gwiazdy tańczące (Wilno 1921). W lirykach Łopalewskiego nie znajdziemy nowatorstwa ani pogoni za kunsztownymi formami techniki pisarskiej. W formie jest on konserwatywny może nawet zanadto konserwatywny. Jednak ujmuje w nim jej szlachetna prostota i bezpośredniość, spokojny smutek i rzewność, zaduma nad śmiercią i miłością, żywiołami podnoszącymi wszelką powszedniość ponad zwykły poziom.

Z powieści Łopalewskiego wyszły drukiem dotychczas „Podwójny cień” (1927), „Nierozsądny kochanek” (1930), „Provincjusz” (1934) oraz dwa zbiorki nowel „Rozmowa w drodze” (1929) i „Żołnierze i kobieta” (1930). Na tem polu Łopalewski zaczął pracę pod wybitnym wpływem Zermenskiego, co jest bardzo widoczne w „Podwójnym cieniu”. Potem jednak szybko oddalił się od mistrza. Obrabiał środowisko przeciętnego mieszczaństwa i zdobywa sobie coraz bardziej obiektywny stosunek do niego. Zestawiając powieści Łopalewskiego widzimy w autorze szybki postęp zarówno w opanowaniu rzemiosła pisarskiego jak i w coraz wnikliwszym i głębszym stosunku do rzeczywistości, obranej za przedmiot obserwacji.

W twórczości dramatycznej spod pióra Łopalewskiego wyszły następujące rzeczy: Betlejem Ostrobramskie. Misterjum. (1928), Rycerz z La Manchy. Poemat dramatyczny. (1929) oraz Aurelcju nie rób tego i Czernona Limuzyna (niedrukowane).

Osobną pozycję zajmuje tłumaczenie Bylina. Jako tłumacz Łopalewski po raz pierwszy tu się popisał i spisał chwalebnie. Zasługa jego jest tem większa, że miał trudności większe, niż tłumacze współczesnej literatury. Udało mu się jednak oddać w zupełności charakter ludowy i archaiczny Bylina.

Miłosz jest tylko lirykiem. Zaczął publikować swoje wiersze w roku 1930 w roczniku „Alma Mater Vilnensis”. Potem drukował w Zagarach-Pionach, Kwadrydze, Linji, Kamieniu i Pionie.

W książkowym wydaniu wyszedł tylko jeden zbiorek jego wierszy: „Poemat o zastępnym czasie” (1933). Pod względem techniki pisarskiej jest on przeciwnieństwem Łopalewskiego. W początkach cechowała go pogoń za efektami całkowicie zewnętrznymi, wyłącznie formalnymi. Ważyły się wpływy z jednej strony Zwrotnicy i Linji, z drugiej zaś Jarosława Iwaszkiewicza. Ten ostatni zwyciężył. Miłosz coraz bardziej się ukłasycał. Ostatnie jego wiersze z wpływów Zwrotnicy wykazują już tylko dekonstrukcję zdania i czasem rytmikę. Poza tem kompozycja, metaforyka, rekwizyty któremi operuje metafora i sama jej budowa czasem wydaje się być syntezą dwóch dawnych przeciwnych wpływów, o których była mowa, a czasem jest zupełnie oryginalna.

W treści cechuje Miłosza śmiałość i bezkompromisowość. Śmiałość ta prowadzi często do myśli radykalnych, lecz te nie mają nic wspólnego z żadnym programem partyjnym. Jest to tylko poetycka reakcja na to lub owo zjawisko społeczne. Jeżelibyśmy chcieli dla ułatwienia użyć jakichś utartych terminów, to moglibyśmy powiedzieć, iż Miłosza cechuje humanitaryzm, pacyfizm, partriotyzm, radykalizm i t. d., jednak te słowa nie dawałyby pojęcia o poglądzie na świat poety. Jest w nim coś z Norwida. W każdej rzeczy umie wyszukać taką stronę i takie na nią rzucić światło, że wydaje się zupełnie inną.

Wspólną cechą obu laureatów jest ustawiczny rozwój w opanowaniu techniki literackiej i pogłębieniu swego stosunku do otaczającej rzeczywistości. Ta wspólna, mimo różnicy wieku, cecha sprawia, że obecne wyróżnienie spotkało ich nie tylko za zasługę lecz i za nadzieję.

Wspólną cechą obu laureatów jest ustawiczny rozwój w opanowaniu techniki literackiej i pogłębieniu swego stosunku do otaczającej rzeczywistości. Ta wspólna, mimo różnicy wieku, cecha sprawia, że obecne wyróżnienie spotkało ich nie tylko za zasługę lecz i za nadzieję.

Wł. Arcimowicz.

# NA SCENACH STOLICY

„Arletta i zielone pudła” — komedia w 3-ach aktach według Zermeny i Alberta Acrement przez A. Homika na scenie Teatru Nowego. Przekład Cz. Strzeleckiego. Reżyserował Z. Ziemiński. Dekoracje S. Jarockiego. (Dn. 7. VII. 1934.).

Czytelnik popremjerowych recenzji w prasie warszawskiej musiał mieć nielada zawód, poszedłszy na „Arlette”: nie czytał wprawdzie, aby komedia ta była arcydziełem, czytał jednak prawie wszędzie, że jest znakomicie zrobiona. A znakomita robota to w teatrze bardzo dużo: to conajmniej świetne role i bardzo interesująca fabuła.

W rzeczywistości jest przecież najzupełniej inaczej: niewiadomo, czy, jest to wina Acrementów, czy też owego p. Homika przez samo „H”, ale jest to właśnie sztuka na scenę wyjątkowo źle zrobiona. Zła robota wychodzi na wierzch, tembardziej, że fabuła jest niezmiernie prosta: środowisko starych panien na głębokiej prowincji i rewolucja, jaką wśród nich wywołuje pojawienie się młodej, pełnej życia dziewczyny. Ta rewolucja jest zresztą uboga w konstrukcji, a jej prawie jedynym terenem to skojarzenie małżeństwa dwojga „oryginałów”, tak zresztą oryginalnych, jak belfer, który jest zabawny i nieśmiały, i starzejąca się panna, która pragnie wyjść za mąż.

Wszystkie prawie figury tej komedji są jednopłaszczyznowe, na jakimś jednym, ubogim motywie oparte, intryga zaś komedjowa ogranicza się właściwie do dwu sytuacji nieco żywszych w kolorycie i szeregu rozmów płytkich i nieinteresujących. Okupioneby to być mogło wszystko jakimś precyzyjnym studjum środowiska — ale i tu doznajemy szeregu najcięższych zawodów. Autorzy nie umieli odmalować barwy tego życia, nie umieli dobrać rysów najbardziej charakterystycznych. Do jakiego stopnia no-

weliści czy też dramaturg nie umieli tego środowiska w jakiejś perypetji pokazać, dowodzi sposób przeprowadzenia walki — o ciekłą rynnę. Ta rynnę, przedmiot sporu pomiędzy starymi pannami i gospodarzem domu, ma być pretekstem do zademonstrowania mentalności czterech sióstr — cóż, kiedy autorzy pragną w nas wzmóc, że spór tego rodzaju może polegać na serji rozmów pomiędzy poważnionymi stronami, w których zawsze jedna strona wysuwa propozycję załatwienia dziurawej rynnę, a druga tę propozycję odrzuca. „Zobaczmy, kto ten spór, trwający od ośmiu lat wygra” — komentuje ktoś z obecnych na scenie, jakgdyby tu wogóle można było coś wygrać i jakgdyby dialog tej sceny posiadał przynajmniej soczystość homeryckich utarczek na słowa. W życiu spór taki wyglądałby w ten sposób, że gospodarz domu wogóleby do swych lokatorek nie przyszedł — w teatrze natomiast powstaje scena, nadająca się doskonale do skreślenia. Nie czynimy wyrzutu reżyserowi, że tego nie uczynił — musiałby skreślić conajmniej połowę sztuki.

Bezskuteczność przedsięwzięcia w wysokim stopniu powiększył tłumacz komedji, wywiązujący się ze swego zadania z dużą lekkomyślnością. Zmniejszył ją natomiast sumienny reżyser — p. Ziemiński, i naogół dobrzy wykonawcy. Wśród nich klasą kunsztu wybijała się na plan pierwszy p. Solaska, jakkolwiek rola Cecylii Davernis bynajmniej nie leży w jej charakterze. Natomiast p. Kurnakowicz odegrał jeszcze jednego niezgrabiarza z dużym poczuciem komizmu i w wybitnie interesującym ujęciu. Trzy różnego typu stare „pudła” grały bardzo dobrze pp. Gella, Krzymuska i Chojnacka — młodą Arlette zaś pełna wdzięku p. Jarkowska, jakkolwiek dać sobie rady z rolą, tak pozbawioną jakichkolwiek cech oryginalniejszych, z pewnością nie jest łatwo.

W. Z.

# BARBARA

Dorzucając jeszcze swoje trzy grosze do mojej polemiki z p. Krępskim, która toczyła się na łamach „Pionu”, postępuję niedy skretnie. Mój oponent bowiem wyraźnie zastrzega sobie w swym „Liście otwartym” do mnie („Pion” Nr. 41) — ostatnie słowo.

Pocięszam się jednak, że nie krzywdzę go, tych bowiem kilkadziesiąt wierszy, które dziś kreszę ma na celu jedynie wysnuć wnioski z dotychczasowej wymiany zdań między nami. Zdaje mi się, że z tą kamerką będzie naszej polemice do twarzy.

Różnica zdań między p. Kr. a mną polega na tem, że ja, opierając się na słowach dekretu „Pro Jacobitis” twierdziłem, iż Kościół przesądza o potępieniu heretyków, p. Krępski zaś twierdził, iż Kościół potępia jedynie herezję (jako pogląd), nie skazując na potępienie indywidualnych heretyków.

Na potwierdzenie mojego poglądu przytoczyłem zdanie, wyjęte ze wspomnianego dekretu: „Święty Kościół Rzymski wierzy, wyznaje i głosi niezachwianie, że nikt z ludzi znajdujących się poza Kościołem — Żydzi, heretycy i schizmatycy, narówni z poganami — nie może uczestniczyć w życiu wiecznym, że ludzie ci są skazani na ogień wieczny...”

P. Krępski odpowiada na to, że Kościół przecie nie mówi nigdy „Piotr, należący do danej sekty będzie potępiony”, a więc nie przesądza o zbawieniu poszczególnych ludzi, lecz jedynie heretyków w ogólności.

Mam wszelako wrażenie, a nawet pewnością, że dopóki obowiązują logika i słowa mają jakiś powszechnie zrozumiały sens, dopóty przytoczone zdanie dekretu „Pro Jacobitis” będzie jednoznaczne ze skazaniem na potępienie wszystkich ludzi indywidualnych, wyznających herezję do ostatniej chwili życia, a więc poprostu heretyków, nie jest bowiem „heretykiem” ten, kto herezję porzucił. Przedstawmy tę sprawę w formie pierwszej figury sylogizmu, t. zw. Barbara.

Wszyscy heretycy będą potępieni. (teza dekretu „Pro Jacobitis”).

Piotr jest heretykiem.

Piotr będzie potępiony.

Wyrok, orzekający coś o zbiorze jednostek posiadających jakąś cechę, orzeka to samo o każdej jednostce, posiadającej tę cechę.

Jeśli Kościół nie mówi wprost: „Piotr wyznający herezję będzie potępiony” — to przedewszystkiem dla tego, że żadna na świecie ustawa karna nie mówi o potępieniu ludzi indywidualnych i karach, które tych ludzi spotykają, tylko o przestępstwach wogóle.

Albowiem Kościół i w swojej praktyce nie mówi nigdy: „Piotr, wyznający herezję, będzie potępiony”. Nie mówi dlatego, że Piotr żyje, może herezję porzucić a wtedy kłątwa

będzie z niego zdjęta. Jeśli jednak Piotr umrze jako heretyk, wówczas będzie potępiony napewno — to zdanie wynika z całej oczywistością z dekretu „Pro Jacobitis” i trudno mi to nazwać inaczej, jak przesądzenie o potępieniu ludzi indywidualnych. Ze słów dekretu bynajmniej też nie wynika to, czego domyśla się p. Krępski, mianowicie, że „Błąd niewiadomy — wyklucza winę”. Przeciwnie dekret „Pro Jacobitis” zapewnia, że wszyscy heretycy, gdyby nawet „przelewali krew za Chrystusa”, i spełniali uczynki miłosierne, czyli działali w najczystszych intencjach i w najlepszej wierze będą potępieni.

Słowem, wnioski p. Krępskiego i moje, wysnute z tego samego materiału, są sprzeczne. Niechaj czytelnicy, których te sprawy zajmują, orzekną, po czyjej stronie jest słuszość.

Dla mnie ta polemika była wysoce pouczająca i pozwolę sobie ze swej strony podziękować p. Krępskiemu, że dał mi okazję do naoicznego przekonania się, jak głęboki, nie wątpię, że ożywczy, kryzys przechodzi katolicyzm dzisiejszy, skoro z takim trudem pora się z własną tradycją.

J. E. Skiński.

## LISTY DO REDAKCJI

### O OCENIE MYŚLI BRZOWSKIEGO

Szanowny Panie Redaktorze!

Prosiłbym bardzo o umieszczenie paru słów w związku z artykułem moim „O ocenie myśli Brzozowskiego” („Pion”, Nr. 39 og. zb.). Artykuł ów napisany został jeszcze w lutym i dopiero później zapoznałem się z recenzjami prof. Kridla w „Wiadomościach Literackich” (Nr. 355) i p. Frydego w „Drozdzie” (Nr. 2 z b. r.). Tak prof. Kridl, jak p. Fryde wskazują wyraźnie na tę drogę rozumowania, jaką próbowałem w odpowiedzi swej sformułować. Podkreślana przez prof. Kridla konieczność uchwylenia t o n u pism Brzozowskiego odpowiada wyraźnie temu co nazywam tworzeniem wzruszeń filozoficznych.

Bardzo ciekawe i wartościowe jest również sprawozdanie p. Frydego, wskazujące na te same konsekwencje (formuła: myśl Brzozowskiego jest nawskroś liryczna). Zwracam uwagę na tę zbieżność sądów, zdaje się bowiem ona świadczyć, że słuszną interpretacją Brzozowskiego musi iść w tym właśnie kierunku.

Proszę przyjąć wyrazy poważania

Kazimierz Wyka.



CZESŁAW MIŁOSZ

NA ŁAMACH PRASY

URAZ NIŻSZOŚCI.

Dotknięta nim jest od początku do końca „Myśl Narodowa”. Wierzyć się nie chce, aby jedyny tygodnik narodowo-demokratyczny, poświęcony „kulturze twórczości polskiej”, czerpał wszystkie swoje soki... z żydostwa. Jest to właściwie tygodnik poświęcony, swoiście pojętej, kulturze twórczości żydowskiej. Niema numeru i niema artykułu, któryby nie nabierał tchu z „niebezpieczeństwa żydowskiego”. Jest w tych wszystkich pseudouczonych rozprawach i talmudycznych analizach „ducha żydowskiego” jakiś podświadomy kult żydostwa, i jakiś niegodny minimalnego poczucia własnej wartości narodowej — defetyzm wobec samych siebie. A przytem ta napół kompromitująca, napół zabawna i niemęska słabość, gotowa przerzucić każdy narodowy brak czy błąd na barki Żyda, zasłonić się nim przed kaźdym niebezpieczeństwem. Czy ten poziom dumy „narodowej”, te punkty wyjścia w propagowaniu „kultury narodowej” nie świadczą aż nadto wymownie o całkowitem wyjąłowieniu ideowym tych hałaśliwych monopolistów polskości?

W piśmie tem dochodzi do tego, że naczelny publicysta, Zygmunt Wasilewski, z całą powagą, mówiąc o wpływach Żydów, wypowiada upakarzające dla każdego Polaka zdanie: „Chodzi o to, że w tym okresie rozwoju nie możemy pozwolić nikomu myśleć za siebie”. (Autentycznie!) Ależ na Boga! w żadnym chyba abywale nie powinniśmy pozwolić myśleć za siebie. Jeżeli grupa z „Myśli Narodowej” uważa, że za nią myślą Żydzi — to jest to sprawa jej własnego intelektualnego niedołęstwa, i nie należy tego indywidualnego upadku ducha identyfikować z resztą myślących Polaków, których siła umysłowej nic nie szkodzi, a napewno może, że inni współobywatele też myślą. Wytrzymamy tę rywalizację. Albowiem prawdziwy a nie bliższy związek z kulturą przeszłości pozwala nam ufać własnej samodzielności, bez histerycznych alarmów i bez ponizających lęków — przed konkurencją.

I nie czujemy „narodowej” potrzeby opluwania innych, żeby samemu czysto wyglądać.

Oto próbka obrony polskości obozu „narodowego”...

JESZCZE JEDEN AUGUR.

Wychodzi taki miesięcznik „Trybuna Warszawska”, redagowany i wydawany przez niejakiego p. Wincentego Netrowskiego, i poświęcony — o ile z mętej treści można wnioskować, — o obronie Kościoła katolickiego oraz propagandzie jego wpływów. Poziom tej propagandy — niestety — więcej krzywdy, niż pożytku przynosi Kościołowi, ale nie to nas interesuje. Sensacją nielada są w tym pobożnym miesięczniku recenzje literackie. Jedną taką przeczytaliśmy. Jest pióra p. Josefa J. Baliń. — nieznanego nam dotąd opiniodawcy w rzeczach sztuki. P. Josef J. Baliń, zajął się mianowicie książką Chorońskiego „Zazdrość i medycyna”, a chcąc przestraszyć czytelników „pornograficzną” treścią utworu, zadał sobie smakowity trud wypisania co ciekawszych „seksualnych” ustępów. Mamy niejakie obawy, że ofiarą gorliwości znakomitego rzeczoznawcy literackiego pójdzie na marne, albo raczej — wbrew jego intencjom — obudzi niezdrowe apetyty czytelników, co zapewne wpłynie wydatnie na poczytność powieści. Nie mamy z tego powodu zamiaru posądzać p. Josefa J. Balińia „o wallenrodzizm w stosunku do moralnych zabiegów „Trybuny Warszawskiej”. Nie. Ponieważ jednak — jak się rzekło — znajduje on widoczne upodobanie do kolekcjonowania erotycznych kawałków, polecamy mu do podobnego zoperowania dzieła Zoli, Flaubert'a, Maupassant'a, Tolstoja, Przybyszewskiego, Żeromskiego i w innych niemałego kalibru pisarzy; — samych prawie

klasyków. Znajdzie tam wiele ulubionego materiału. Będzie mógł jednocześnie splonąć świętem oburzeniem Savonaroli. Wybaczmy mu wszystko. Niech tylko nie czerpie z tych swoich zamilowań natchnienia do oceny literackiej dzieł. Za delikatne zajęcie, i wogóle zdaje się nie leży w granicach specjalności p. Josefa J. Balińia...

„SZPARGAŁY”.

Pod tym tytułem zaczęło wychodzić czasopismo, poświęcone „młodości i zbieractwu książek oraz wszelkich osobliwości bibliograficznych”. Numer 1 pisma otwierają inteligentne „rozważania bibliofilskie” p. L. Lewenstama, który swoją szlachetną pasję tłumaczy w sposób nietylko wymowny ale i propagandowy. Poza tą publikacją znajdujemy tu wyznanie wiary bibliofilskiej Tuwima oraz szkic Stanisława P. Kaczorowskiego p. t. „Pani Ewelina Balzakowa”. Numer uzupełniają oficje zebrane „Rozmaitości”, kronika rzadkich druków, exlibrisów, grafik, wystaw. Podzielamy opinię redaktorów o pożyteczności wydawnictwa.

KONKURS POETYCKI.

Ostatni numer (29) „Wiadomości Literackich” przynosi bogaty plon wyników konkursu poetyckiego na wiersz. Pomysł redakcji, jak się okazuje, był udany. Opublikowane utwory w większości wypadków odznaczają się dużą wartością literacką a są między nimi i wybitne. Notujemy ten fakt z prawdziwą satysfakcją ze względu na wyraźne kulturalne korzyści, płynące z tego rodzaju i tak przeprowadzonych turniejów.

Strz.

OŚWIADCZENIE ELITY WILEŃSKIEJ

Od pewnego czasu „Słowo” prowadzi regularną kampanję, zwalczającą i starającą się podkopać w opinii publicznej Związek Literatów i Radę Wileńskich Zrzeszeń Artystycznych. Tej akcji „Słowa” przeciwstawiamy się kategorycznie.

Związek Literatów, którego dziełem jest zorganizowanie i prowadzenie od szeregu lat znanych i cenionych w całej Polsce „Stród Literackich”, których odbyło się przeszło 200, — oraz Rada Wileńskich Zrzeszeń Artystycznych, prowadząca Studium Muzyczne, Studium o Przeszłości Wilna, Czytelnię Czasopism Artystycznych i Klub Artystyczny „Smorgonje”, potrafiły zorganizować i skupić życie artystyczno-literackie, tworząc żywy i twórczy ośrodek kulturalny.

Mówiąc o tych instytucjach, którym społeczeństwo wileńskie tak wiele zawdzięcza, trzeba podkreślić zasługi wybitnych przedstawicieli sfer artystycznych, pracujących ofiarnie, owocnie i bezinteresownie, a którzy jak zwłaszcza pp. Helena Romer-Ochenkowska, W. Hulewicz i St. Lorentz, szczególnie ostro są atakowani przez „Słowo”.

Znając dobrze działalność zwalczanych przez „Słowo” organizacji oraz osób, stojących na ich czele, uważamy za swój obowiązek publicznie oświadczyć, iż, zdaniem naszym, Zarząd Związku Literatów i Rada Wileńskich Zrzeszeń Artystycznych dobrze się zasłużyły dla Wilna, to też uważamy, że działalność ich godna jest uznania.

Stanisław Bagiński, B. Bałzukiewicz, Olgierd Chomiński, M. Chorzełska, dr. Eug. Dobaczewski plk., S. Ehrenkreutz, J. Fiedorowa, H. Hleb-Koszańska, Stanisław Hilber, J. Hurynowicz, St. Iszorzyna, Władysław Jakowicki, Br. Jamontt, J. Jantzenowa, Zb. gniew Jasiński, E. Koschmieder, Bronisław Krzyżanowski, Marja Lubińska, dr. Adam Łysakowski, Kornel Michejda, T. Nagurski, T. Niesiołowski, H. Niewodniczański, Irena Niewodniczańska, St. Odlanicki-Poczobutt, F. Pakoszowa, J. Patkowski, K. Pelczar, W. Pelczyńska, Tadeusz Pelczyński plk., Kazimierz Petruszewicz, Jan Prüffer, M. Racięcka, M. Reicher, Wanda Reicherowa, J. Rudnicki, S. Siengalewicz, St. Skwarczyński gen., Helena Sokolowska, St. Srebrny, M. Stabińska-Przybytkowa, Stachiewicz Waclaw plk., Stachiewiczowa Wanda, E. Sumorok-Staniewiczowa, Witold Staniewicz, Wacław Gizbert-Studnicki, E. Szabelska, J. Szlągowska, K. Szlągowski, M. Szpakiewicz, ks. dr. Piotr Sledziewski, Stanisław Swianiewicz, H. Turyska, Hanna Wierusz-Kowalska, Celina Wielhorska, Jadwiga Wojewódzka, S. Wysłouch, Henryk Zabielski, H. Zasztowt Sukienicka, Marjanowa Zdziechowska.

KONKURS DRAMATYCZNY POLSKIEJ AKADEMII LITERATURY

Polska Akademia Literatury ogłosiła konkurs dramatyczny na warunkach następujących:

A) na konkurs nadsyłać można utwory dramatyczne wszelkiego rodzaju (tragedja, dramat, komedia, krotoczwila), napisane wierszem, lub prozą;

B) utwór konkursowy winien być przepisany na maszynie;

C) utwór konkursowy winien wypełniać cały wieczór teatralny;

D) na egzemplarzu utworu nadesłanego na konkurs autor pomieszcza, oprócz tytułu, jeszcze wybrane przez siebie godło; godło to powinno być powtórzone na zamkniętej kopercie, która zawiera wewnątrz nazwisko i adres autora;

E) utwory podpisane prawdziwym nazwiskiem, lub pseudonimem autora, zarówno jak utwory drukowane lub wystawione w teatrze lub też utwory, które były posyłane na inne konkursy dramatyczne, będą wyłączone z konkursu;

F) utwory konkursowe nadsyłać należy do dnia 31 grudnia (włącznie) 1934 roku pod adresem Polskiej Akademii Literatury, Krakowskie Przedmieście 32 — Warszawa. Dostawom dotrzymania zastrzeżonego terminu będzie data stempla pocztowego lub pokwitowania sekretariatu P. A. L.

G) za najlepsze utwory jury konkursu wyznaczy trzy nagrody: pierwsza w wysokości 5.000 złotych, druga — 3.000 złotych i trzecia — 2.000 zł. W razie, gdy żaden z nadesłanych utworów nie otrzyma pierwszej nagrody, suma 5.000 złotych dodana będzie do nagród następnego konkursu Polskiej Akademii Literatury. Druga i trzecia nagroda przyznane będą bezwzględnie. Jury może też przyznać odznaczenia za wybitniejsze utwory nadesłane na konkurs.

I) konkurs będzie rozstrzygnięty najpóźniej do dnia 1 maja 1935 roku;

J) prawo pierwszeństwa do wystawienia nagrodzonych sztuk służy scenom Tow. Krzewienia Kultury Teatralnej, które decyżę swą w tym przedmiocie zakomunikują autorowi sztuki w przeciągu miesiąca od daty ogłoszenia wyniku konkursu.

K) sztuki nienagrodzone winny być odebrane z Sekretariatu P. A. L. najpóźniej w przeciągu dwóch miesięcy od daty rozstrzygnięcia konkursu.

L) Skład Jury konkursowego: Prezes P. A. L. Wacław Sieroszewski, Wiceprezes P. A. L. Leopold Staff, Sekretarz Generalny P. A. L. Juliusz Kaden-Bandrowski, Jan Lorentowicz, Kornel Makuszyński, Zofja Nalkowska, Jerzy Szaniawski, Arnold Szyfman, Józef Sliwicki, Kazimierz Wierzyński, Dr. Władysław Zawistowski, Tadeusz Boy-Zeleński.

NA EKRAŃACH

BUNTOWNIK.

(Kino Światowid)

Okres niemych filmów z lat 1924—26 był w rozwoju sztuki filmowej momentem kulminacyjnym. W tym czasie powstały takie arcydzieła dynamiki i bezpośredniości jak „Burza nad Azją” czy „Wschód słońca”. Do okresu tego — niestety dziś tak zapomnianego — nawiązując wyraźnie film Kurta Bernharta i Luis Trenkera „Buntownik”. Zarówno scenarzysta jak i wykonanie przypominają tamte czasy rozmachem i ekspresją. Ten typ filmu, przesyconego powietrzem i życiem, jakże daleko odbiega od teatralnych szablonów dzisiejszego kina! Tak pojęta praca filmowa jest naprawdę powiewem świeżości w stęchłej atmosferze banalu. Scenarzysta „Buntownika” ma w sobie coś bliskiego nam wszystkim, coś, co może przygasło, lecz tlić będzie się zawsze — wspaniałą zawadiacką patos nieustraszonej walki z przemocą w imię słusznej sprawy. Jesteśmy skłonni wybaczyć autorom scenariusza naiwność w ujmowaniu tego tyrolskiego patriotyzmu (zresztą, jak się zdaje, sfabrykowanego w Berlinie) — porywa nas bowiem zuchwałość młodego studenta i oszałamia nas patos gór.

Gra aktorska znajduje się w „Buntowniku” na poziomie dobrym, ale największe sukcesy odnosi w nim operator. Ta dziedzinna twórczości filmowej rozwija się wciąż i najmniej dostarcza powodów do żalu. Można też walczyć w górach, prowadzonej tak zaciekłe i beznadziejnie, jest święty. Dynamika rwących w przepaść lawin, pędzących w strachu koni i tonących w potokach ciał — osiąga w kulminacyjnym punkcie filmu wspaniałą pełnię wyrazu filmowego. Jest w tym filmie romantyzm dawnej walki wręcz — tak obcy i daleki ponurej, systematycznej mordowni dzisiejszych wojen. Film kończy się wprawdzie rozstrzelaniem szaleńców i naiwną ich apoteozą, lecz radość słusznej walki, tak obca widzowi, znuzonemu powszednią troską, pozostaje jako zasadnicze, górujące nad innymi, wrażenie. Z tych przyczyn należy uznać „Buntownika” za film, w całym tego słowa znaczeniu, a jest to na dzisiejsze stosunki wielka pochwała.

DAMA OD MAXIMA.

(Kino Filharmonja)

Wśród fars paryskich, specjalizujących się w swego rodzaju ekwilibrystyce pikantnych i dwuznacznych sytuacji „Dama od Maxima” zajmuje miejsce utworu dziś już niemal klasycznego. Reżyser Korda, przerażając tę farsę na film, dobrze uczynił, kładąc akcent na komizm i groteskowość epoki „1900”, tak dziś dla nas ideowo i obyczajowo dalekiej. Temsamem zupełna amoralność utworu tego typu nabrała nowego sensu —

świadomie czy nieświadomie wplotła się tu satyra na mieszczaństwo paryskie i na francuską pikanterję, która w opowieści „1900” wygląda tak groteskowo. Cała ta bzdurna awantura oparta na śliskich i niewiarygodnych sytuacjach, mogłaby się stać wspaniałą, zjadliwą satyrą na farsę i środowisko, gdyby reżyser nie poddawał się tak bardzo sugestji komizmu sytuacyjnego. W każdym razie „Dama od Maxima” nosi cechy satyry i to jedynie przemawia na korzyść tego filmu. Na gruncie współczesnym historia tego rodzaju mogłaby budzić tylko niesmak i obrzydzenie. Inna sprawa, że wszystko, co nam pokazuje w tym wesolym Paryżu sprzed trzydziestu lat, jest wiele bardziej nieprzyzwoite niż dzisiejsza swoboda i nagość kabaretowa. Tańce wesolych paniątek u Maxima, machających nóżkami w piramidach fałbanek, są w swej nieprzyzwoitości przede wszystkim śmieszne i groteskowe. Cała wesola heca rozgrywa się w atmosferze naiwnego cynizmu i główna bohaterka, utalentowana Florelle, z wdziękiem i szczerze oddaje postać zepsutej aktoreczki, nie kryjąc przytem swoich instynktów pod szminką współczesnego „vampa”. Lepszy jest taki szczerzy film od zakłamanych „dramatów salonowo-erotycznych”. Reżyser Korda nadał całemu środowisku piętne śmieszne i kretynizm i uczynił to z talentem, wywołując na widowni salwy śmiechu. Oczywiście, niema tam miejsca na jakąś myśl filmową — poprostu teatr, dobrze przystosowany do możliwości technicznych kina. Gra aktorów bardzo dobra, dobór charakterystycznych typów znakomity. Gdyby tak jeszcze poddamy głębszej analizie takie tematy i takie środowiska! Analiza ta wyszłaby napewno na korzyść wesolej „damy od Maxima”, która wśród zbiorowiska matolów i oskazy muzealnych, reprezentuje bądź co bądź żywą istotę, szczerze i z radością podająca się swym instynktom.

(c)

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Hurtownia

dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc.

w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarzom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE

DLA KSIĘGARZY P. T.

„KURJER KSIĘGARSKI”.

Redakcja: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24-00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19.

Administracja: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21-44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto. P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor: Tadeusz Świącicki

Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty Julian Zielski

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10